



STEFAN ŻEROMSKI

Okno za okno


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

STEFAN ŻEROMSKI

Oko za oko

Kiedy zawiadowca stacji Trebizondów Wielki wyekspediował pociąg towarowy wracał na tak zwaną salę klasy drugiej, aby połączyć się z towarzystwem, które przed trzema kwadransami opuścił, i otworzył drzwi wchodowe, z peronu wprost do owej klasy wiodące, oczom jego przedstawił się widok dosyć niezwykły. Zgromadzeni dokoła stołu przedstawiciele pewnego odłamu inteligencji miasta powiatowego Trebizondów tworzyli niby jedno ciało, wywijające mnóstwem rąk i nóg, chwiejące się na krzeselkach w najrozmaitsze strony i wrzeszczące dziwnymi głosami. Dwaj urzędnicy powiatowi, wtłoczeni na małą kanapę i zasunięci stołem, trzymali się nawzajem za guziki od tużurków i co chwila ośliniali w czułym pocałunku. Geometra (drugiej klasy), z pięścią i oczyma wzniesionymi w kierunku sufitu, oświadczał wniebogłose, że nie pozwoli, aby mu ktokolwiek, kiedykolwiek, jakimkolwiek sposobem lub uczynkiem ubliżał — chociaż nikt mu nie ubliżył ani przed obecnym posiedzeniem, ani podczas jego trwania. Młody doktor miejscowy, czarny i chudy jak sztalugi Żydek w niebieskich binoklach — zwany złośliwie przez bogobojne stare panny „kościotrupem z bakami” — pluł bez skrępowania na środek stołu w kufle piwa i na kamizelki sąsiadów, mrużąc od czasu do czasu, że będzie pluł i nikt nie może go zmusić do odmówienia sobie tej przyjemności. Ryżawy telegrafista wymiotował melancholijnie na kolano inżyniera powiatowego, który przyglądał się temu procesowi z wyrazem nieklamanej życzliwości. Podtatusiały „pan profesor”, pełniący obowiązki filozofa i ateusza powiatowego, pukając palcem w plecy chorego telegrafisty perorował coś na temat „konwersji pożyczki” głosem przerywanym przez czkawkę w sposób tak szczególny, że monolog jego sprawiał literalnie wrażenie gdakania kury chorej na *pypcia*. Wykwintny w manierach i doborze koloru skarpetek tłumacz sądu pokoju zrywał się co chwila od stołu, klękał i składając uroczyste dwa palce w resztkach sosu na półmisku, przysięgał komuś, że go nie opuści aż do śmierci....

Stosunkowo najtrzeźwiejszy z całego tego grona pan Jaksa-Świerkowski, zrujnowany obywatel, obecnie posiadający dom i kilkanaście morgów gruntu tuż pod miastem, szlachcic kolosalnych rozmiarów, w butach z cholewami po same pachwiny — nie tyle śmiał się, ile rżał, patrząc na scenę, jaka miała miejsce w ciemnym kącie sali obok pieca. Młody student uniwersytetu Adam Wawelski — siedział tam na ziemi przed skurczonym kelnerem stacyjnym i wydierał mu rękę, którą ten, płacząc rzewnie, chował do kieszeni. Rzecz tak się miała: Wawelski zażądał od kelnera zapalki, w zamian za której szybkie udzielenie ofiarował czterdzieści kopiejek. Wzruszony kelner pocałował hojnego studenta w rękę. Demokratycznie usposobiony słuchacz prawa wrzasnął, że trupem natychmiast padnie, jeżeli służący nie pozwoli mu pocałować się również w rękę... Po długim wahaniu się kelner zezwolił, lecz sam znowu pocałował Wawelskiego w rękę. Od tej chwili zaczęło się między tymi dwoma wydzieranie sobie gwałtem rąk do całowania, trwające już od kilkunastu minut.

Zawiadowca stacji przyłączył się czynnie do towarzystwa i właśnie sama pani bufetowa krzątać się zaczęła dokoła jego osoby, odkorkowując butelki, gdy nagle student Wawelski porzucił płaczącego kelnera i stanął pośród biesiadników z włosiem rozwianym i oczami tak dalece zbielełymi, że przypominały dwie bryłki masła.

— Panowie — zawołał, wyciągając rękę z gestem krasomówczym, o tyle niefortunnie, że wskazując palcem trafił w rzymski nos „kościotrupa z bakami” — ten oto wyzyskiwany obywatel (tu wskazał na skruszonego kelnera) na własne uszy słyszał, jak ksiądz Piwko

z ambony mówił, że wszyscy ludzie równi są na tym padole płaczu. Proponuję, abyśmy księdza Piwkę podnieśli na naszych barkach... w górę księdza Piwkę!

— A gdzie macie tego księdza Piwkę? — zagrział pan Świerkowski.

— A w Przebrzmiałowicach, proszę łaski pana — szepnął kelner.

— No, to przecie cztery mile stąd...

— Pójdźmy, panowie, po niego — wołał Wawelski — przynieśmy go na barkach! Nie jestem wcale zwolennikiem wodzenia klas pracujących na pasku klechów, ale pójdźmy, panowie!... na barkach i w górę księdza Piwkę!... Idziecie, łajdaki, czy nie? — krzyczał co sił, bijąc pięścią w plecy pierwszego z brzegu.

Wszyscy zaczęli z miejsc swych powstawać, aby iść po owego księdza Piwkę. Wówczas pan Świerkowski chwycił wpół Wawelskiego, nałożył mu pierwszy, jaki był pod ręką, kapelusz na głowę, wyprowadził go z sali i kazał posługaczowi przywołać dorożkę. Za chwilę wsiadali obadwaj z niemałym trudem na lichą bryczkę zaprzęzoną w jednego konia.

— Do mnie! — rozkazał eks-obywatel powożącemu Żydkowi.

Ciepły oddech gruntu, spieczonego upałem całodziennym, owionął rozpalone głowy jadących i odebrał im resztki przytomności. Za każdym uderzeniem kół bryczki o kamienie i wyboje drogi głowy ich uderzały się znienacka i rozbiegały w różne strony. Wówczas obadwaj zdejmowali cudze kapelusze i wpatrywali się w siebie nawzajem uparcie.

— Uprzejmie przepraszam — bełkotał Wawelski.

— O nie... to ja raczej przepraszam...

— No, dobrze, ale dokąd ja właściwie i z kim właściwie mam przyjemność jechać?

— Wiozę pana do mnie. Chcę pana przedstawić siostrze mojej żony. Śliczna dziewczyna! Jak żyję na świecie, nie widziałem nic podobnego...

— A, jeżeli tak... Wzruszony jestem cokolwiek. Zresztą... co mnie przyjdzie tak dalece z pańskiej żony?

— Z siostry mojej żony! Cudna dziewczyna! Co za biodra, panie, u tej kobiety...

— Ależ ja jestem zupełnie obnażony z pieniędzy! Gdzież u licha ta kieszeń!...

— Posagu ona, biedactwo, wprawdzie nie ma, ale cóż to za serce złote, co za edukacja! Ślicznie panu gra, maluje na porcelanie. Dokądże mi zresztą będzie siedziała na karku... to jest...

— Na porcelanie?! — przerwał ze zdziwieniem Wawelski. — Nie, wie pan, tego to już nie rozumiem... Przy tym to pan dobrodziej, o ile sobie przypominam, wyjąłeś mi z twarzy mego własnego papierosa...

— Mogę panu służyć moim — mruzczał Świerkowski, szperając po kieszeniach.

Wózek wtoczył się w uliczkę zamiejską, wygradzoną opłotkami chruścianymi i pełną nie wysychającego nigdy błota. Z łąk wracały gromadki ludności rolniczej miasteczka z kosami i grabiami, tu i ówdzie wlokły się powoli w poprzek skoszonej murawy ku drodze „drabinki” z sianem. Przechodzący zatrzymywali się na widok zdziczałych min i pomiętych kapeluszów naszych biesiadników i przeprowadzali ich wybuchami śmiechu aż do tak zwanej szlacheckiej willi.

Willi pana Świerkowskiego była domostwem starym, dosyć niezgrabnym i zasuwanym się w ziemię. Z prawej strony przybudowano, widocznie niedawno, rodzaj baszty drewnianej z dachem spiczastym, podobnym do wieżyczek kościelnych w Szwajcarii i sprawiającym w towarzystwie poobdzieranego dachu całego domostwa efekt wielce humorystyczny. W tyle domu ciągnął się świeżo założony ogród, otoczony powyginanym i zataczającym się parkanem.

Kiedy zmęczona szkapa zatrzymała się przed drzwiami willi, nasi panowie zachęcali się uprzejmie do wysiadania w ciągu tak znacznego przeciągu czasu, że wreszcie mały wóznica zmuszony był powyciągać ich jako tako z głębi słomianego siedzenia, które zupełnie rozkopali i porozmiatali.

Ugarniowani wiechciami słomy weszli do sieni. Gospodarz wprowadził Wawelskiego do saloniku i próbował umieścić go na fotelu, czemu jednak student oparł się z zapalem; minęli więc salon, pokój sypialny i stołowy i znaleźli się na balkonie, skąd po kilku stopniach schodziło się do ogrodu. W kącie werandy na długiej ławce siedziały dwie młode i ładne kobiety, a u nóg ich bawił się kamykami trzyletni może chłopczyk, tłusty i zabrudzony jak poleć wędzonej szynki.

— Pan Wawelski, student uniwersytetu... — wygłosił patetycznie gospodarz i złożywszy damom niebywały ukłon cofnął się do pokoju.

Obie te panie szybkimi, nieznacznymi ruchami poprawiły bluzki i włosy, gdy tymczasem Wawelski, usiłując wykonać nogą ruch pełen elegancji, oderwał z cementowej posadzki, pękającej i podziurawionej, znaczny kawał tynku i przyglądał mu się z oburzeniem. Drobnym wypadkiem zdetonował go tak silnie, że nagłym ruchem oddalił się na przeciwległy koniec ganku i usiadł tam na niskiej balustradzie.

— Niechże pan będzie łaskaw... — zaczęła mówić starsza powstając, lecz spostrzegłszy nagły odwrót gościa przerwała i pytająco spojrzała na towarzyszkę. Zapanowało milczenie. Szczęściem zjawił się pan Świerkowski i pragnął zagać rozmowę.

— Uważasz, Zosiu — mówił — chciałem przedstawić wam pana...

— Co to wszystko znaczy, Wiktorze? — pytały szeptem obiedwie, gryząc wargi.

Wawelski z dystynkcją poprawił kołnierzyk i wpatrywał się w panią Zofię z oddalenia tak ponuro i groźnie, że ta ledwo mogła powstrzymać śmiech głośny.

— Będziemy musieli obadwaj odpocząć cokolwieczek, mój serdeczny przyjacielu — zwrócił się do studenta pan Świerkowski — nieprawdaż?

— Co do mnie... nie sądzę... Bądź co bądź... — mówił, wstając i prostując się pan Wawelski.

Mdlejącymi ruchami zbliżył się do stolika i usiadł na ławce zajętej przez panią Zofię i jej siostrę. Za chwilę jednak, zawiadomiwszy te panie, że społeczeństwo nie jest bynajmniej organizmem, gibnął się na bok w sposób tak zatrważający, że go natychmiast odprowadzono do gabinetu pana domu, gdzie też wkrótce zasnął na kanapie snem kamiennym. Za jego przykładem poszedł niezwłocznie pan Wiktor.

Młodzieniec nasz obudził się nazajutrz dosyć późno. Zaledwie otworzył oczy i przypomniał sobie jako tako przygody dnia poprzedzającego, usiłował zasnąć jeszcze, zaciskał powieki, aby przynajmniej nie natychmiast zaglądać w oczy gorzkiej rzeczywistości. Lecz już usnąć nie mógł. Słońce świeciło prosto w okno otwarte, zastawione siatką tiulową i rzucało na podłogę kwadratowy odbłask, posuwający się w miarę jak ciepły podmuch wiatru wpychał do pokoju lub wydymał na zewnątrz białą zasłonę. Duże muchy wciskały się do pokoju przez szczeliny i, rozbijając się o ściany i belki wybielonej wapnem powały, warczały groźnie; z okna dolatywał cichy szelest liści i brzęk os; zresztą w całym domu i ogrodzie cisza była śmiertelna.

„Ucieknę chyba — myślał zrozpaczony student — innej rady nie ma. Wyjmę z okna siatkę, skoczę do ogrodu... Po południu przyjdę, przeproszę itd.”

Zerwał się i zaczął szukać ubrania. Niestety — ubrania nie było: wzięto je do czyszczenia.

„Ładna historia! Wyobrażam sobie, jak te kobiety spojrzą na mnie, gdy się wobec nich zjawię... Gdzie ten stary arcynygus miał rozum, żeby mnie wieźć tutaj w takim stanie! Przy tym co za kapitalny kacenjamer...”

Drzwi się nagle otwarły i weszła pokojówka wzrostu kirasjera. Położyła ubranie na krzeselku i uciekła co tchu, parszcząc śmiechem.

— Zaczyna się... — mruknął Wawelski wstając.

Umył się i ubrał szybko, marząc rozkosznie, że może nikogo w domu i ogrodzie nie spotka, wymknie się niepostrzeżenie i uniknie przynajmniej na teraz wstydu. Wkrótce był gotów i zauważywszy, że w sąsiednim pokoju nie ma nikogo, wsunął się tam na palcach, wyjrzał przez okno wychodzące na ogród i zaklął z głębi serca. W bliskości balkonu widać było między drzewami zielone słupy niezgrabnej huśtawki i ową siostrę pani domu, kołyszącą się niedbale z książką w ręku. Piękna panna miała na sobie jakąś jasną suknię, nogi jej, obute w żółte, letnie pantofle, muskały rozłożyste trawy, uniesiona cokolwiek spódnica odsłaniała ładne pończochy na niebywale zgrabnych łydkach. Ciemne włosy, zdobiące jej piękną głowę, uczesane w sposób najmodniejszy, to połyskiwały i lśniły na słońcu, to się zanurzały w znikomy, przejrzysty, ledwo dostrzegalny cień, jaki odrzucały drzewiny owocowe.

Z głębi ogrodu szła uliczką pani Świerkowska i zbliżyła się do huśtawki. Była podobna do siostry i może o dwa lub trzy lata tylko od niej starsza.

„Co ja właściwie tym paniom powiem, gdy się wobec nich zjawię? — myślał zrozpaczony Adam. — O, Boże!”

Układał jeszcze w ciągu jakich dziesięciu minut pięknie brzmiące tyrady, a wreszcie otworzył z trzaskiem drzwi i przymrużywszy oczy wszedł na uliczkę ogrodową.

— Kto widział, panie Wawelski, tak się upijać? — zawołała pani Zofia, nim się zdołał do huśtawki zbliżyć. — Z naszymi panami trzeba się znać z wielkiej odległości, inaczej będą pana co kilka dni wyciągali na te ohydne pijatyki. Nie wiem, czy nas pan sobie przypomina: jestem żoną pańskiego „serdecznego przyjaciela”, a oto moja siostra, Wanda. Czy głowa pana boli? Wczoraj jeszcze dałam znać mamie pana, aby się nie obawiała...

— Doprawdy, nie wiem, jakimi słowami przeprosić panie... — jęknął Wawelski, myśląc w głębi duszy, że to jednak dobra *baba*.

— Wiemy dobrze, że nie doświadcza pan uczuć przyjemnych, toteż nie będziemy wcale mówili o tej przygodzie. Skąd się pan wczoraj wziął między tymi obrzydliwymi biboszami?

— Przypadkowo zaszedłem na dworzec, a że znałem doktora Daktylberga jeszcze z Warszawy, jakoś więc tak...

— Teraz napije się pan herbaty z cytryną, a nieco później rosółu. Głowa przestanie boleć. Chodźmy, Wanduchno; proszę pana...

— A gdzie pan Świerkowski? — zagadnął Adam.

— O, on dawno już odebrał należne natarcie uszu, teraz jest znowu na dworcu... ekspediuje sery do Warszawy.

— Dawno już pan bawi w Trebizondowie? — zapytała panna Wanda, wstępując na ganek.

— Od dwu tygodni. Matka moja utrzymuje, jakoby tutaj było przepyszne powietrze, jakobym ja był chory na płuca, najęła w willi Odrobinka mieszkanie i zmusza mnie pośrednio do takiego oto jak wczoraj przepędzania czasu.

— Ach... więc to mama pańska zmusiła pana?...

— No... nie! ale absolutna samotność. Las i las... Myślałem, że zdziczęję zupełnie i zacząć chodzić na czworakach.

Przy stole panna Wanda siedziała naprzeciwko studenta i przyglądała mu się od czasu do czasu bacznie dużymi oczami, lazurowymi jak niebo w południe. Pani Zofia zajęta była nalewaniem herbaty. Była szczuplejsza od siostry, ubrana mniej modnie i jakby nieustannie o czymś smutnym zamyślona. Kolor jej oczu był prawie ten sam co u siostry, bardziej tylko jasny i jakby zamglony. Wawelski wiedział dobrze, że wyraz melancholii, tajemniczego zamyślenia, nieujęty wyraz oczu pięknych kobiet ukrywa najczęściej wybitną płytkość umysłu i oschłość, jeśli nie zatwardziałość serca, a jednak nie mógł się oprzeć urokowi, jaki wywierały oczy tej mężatki. Było to wejrzenie łagodne, miękkie, dobre i ufające; wyrażało jakby przystosowywanie się subtelnym myślom i delikatnym uczuciom do przymusowo narzucającej się rzeczywistości, nieskończenie od tych myśli dalekiej. Popierało takie wrażenie — gładkie i białe jak welinowy papier czoło, otoczone jasnymi, zaczesanymi w górę włosami — i usta. Co za usta! Jeden jedyny Greuze umiał utrwać tą właśnie, tkwiącą w pewnych twarzach kobiecych, harmonijną melodię rysów, jakiej nie mógł się do syta napatrzeć Wawelski w twarzy pani Świerkowskiej.

„Rany Pana Jezusa! cóż za śliczna baba... — myślał, polykając gorącą herbatę. — I to ona jest żoną aligatora...”

— Pan kończy już zapewne uniwersytet? — zapytała panna Wanda.

— Właściwie mówiąc... Jeszcze nie kończę. Powziąłem zamiar przestudiowania pewnych umiejętności na tym samym kursie.

— Aha... jest więc pan pewno prawnikiem?

— Tak, pani.

— Znałam bardzo wielu studentów prawa, będąc jeszcze na pensji.

— Kończyła pani pensję w Warszawie? Dawno ją pani opuściła?

— Przed trzema laty.

— Obecnie chwilowo wypoczywa biedactwo u nas — wtrąciła pani Zofia — po trudach i nudach zawodu. Była nauczycielką w pewnym domu obywatelskim. Niegdyś, będąc

dziewczętami, nie przypuszczaliśmy, że jedna z nas będzie się zajmowała wyrabianiem serów, pielaniem rozsady i ogórków, a druga zapracowywała na utrzymanie tułaniem się po domach obcych.

Panna Wanda spojrzała na mówiącą z pewnym wyrazem surowości i zmusiła ją do milczenia. Wawelski nie brał bardzo do serca zmiany losu, jaka zaskoczyła te panie; toteż uśmiechając się nieodpowiednio, myślał tylko o tym, jak by wyjść z honorem z całej tej afery.

Po herbacie pani Świerkowska zaproponowała swemu gościowi mały spacer. Z ganku widać było kawał łąki już skoszonej — gładką, równą, jasnozieloną nizinę, od której nie można było oderwać oczu. Pośrodku łąki stała grupa szarozielonych olszyn. Maleńki ten a dziwnie uroczy krajobraz otaczały jakby ramionami smugi lasu sosnowego. Cały ogród skrętnie i pracowicie uprawiony był pod przeróżne ogrodowizny. Wzdłuż i w poprzek przecinały go uliczki, wysadzone krzakami agrestu, porzeczek, malin i drzewami owocowymi. Od tła jasnej jeszcze zieloności młodych listków, powleczonej jakby lśniącym pokostem — płomienistą smugą odrzynało się staje wysokiego i kwitnącego pąsowo maku, dalej kilka zagonów kartofli, przyprószonych kwiatem niby śniegiem. Kwitły i pachniały młode lipy — rozlegał się wszędzie melodyjny gwar pszczół, trzmieli, os, nieprzerwany krzyk kosów i pogwizdywanie wilg. Pod parkanem rosły dokoła ogrodu dwa zagony grochu tyczkowego, rozrosłego bujnie i tworzącego istny las, pełen uliczek, grot, zieleni, korytarzy i tunelów. Tylna część płotu ginęła całkowicie w zaroślach dzikiego chmielu. W rogu tego wału z roślin kryła się wąska i niska furtka. Pani Zofia otworzyła ją wyjętym z kieszeni kluczem i stanąwszy już po tamtej stronie płotu, doradzała młodym, aby pozostali w ogrodzie — tam bowiem, dokąd ona idzie, około inspektów, rosa jest jeszcze.

„Zdaje się, że to polowańko na mnie” — pomyślał Wawelski.

Zaczęła się tedy rozmowa mdło-dowcipna: o maku, fasoli, Schopenhauerze, pięknej łące, emancypacji kobiet, o słowikach, o ciekawości jako zgubnej wadzie, sięgała już nawet takich wyżyn jak deklamowanie piosenki Heinego:

*Wenn ich in deine Augen seh',
So schwindet all' mein Leid und Weh;
Doch wenn ich küsse deinen Mund... itd.*

gdy na ulicze zjawił się pan Świerkowski.

Szedł, śmiejąc się i z odległości czterdziestu kroków wyciągając do Wawelskiego prawicę jak skrzydło wiatraka.

— Tośmy, panie, komedie wczoraj pokazywali... ha! — wołał, kłując policzki studenta nie goloną od tygodnia brodą. — Jakże tam kacenjamerek... dokucz psubrat! A ja, panie łaskawy, musiałem od rana awanturować się z tymi serami. Kapelusz pański znalazłem aż u profesora... Eh... barszczu by teraz, barszczu kwaśnego! A gdzież to Zosia?

— Przy inspektach — rzekła panna Wanda.

— Aha. Tak to, uważa pan, nasza szlachta do roboty się bierze. Teraz dopiero zrozumiałem, gdy na zagrodowca zeszedł, że gdzie pan, drogi panie, nogą stąpisz, tam leży, jeżeli nie cały rubel srebrem, to na pewno siedemdziesiąt pięć kopiejek! Dasz pan wiarę, że ja z dziesięciu morgów i z tej oto łączki utrzymuję dom, żyję...

— I bawię się przynajmniej raz w tygodniu na dworcu... — dorzuciła panna Wanda.

— Z dziesięciu morgów ziemi — wołał, nie zwracając uwagi na sarkazm, aż mu żyły na czole nabrzmiały. — Trzymam osiem krów, wyrabia się sery, masło, szczerze mówiąc, letników warszawskich obciąża się naleźycie na mleku. Ogórki takie widziałeś pan też kiedy za żywota swego? To wszystko *furt* do Warszawy idzie; maliny, porzeczek, agrest, włoszczyzna... wszystko! A owoce? To śmiech! Zasypię tę waszą Warszawę moimi śliwkami za jakie dwa lata. Teraz, panie, z książek się uczę o uprawie cykorii. To może być artykuł! co też pan sądzi?

— Ja, uważa pan...

— Myślisz pan może, że Żydom oddam moją cykorię?... akurat! Wie pan, co ja panu powiem — mówił dalej, biorąc Wawelskiego pod rękę i zniżając głos do szeptu demonicznego — wiesz pan, co ja zamierzam? Zamierzam ni mniej, ni więcej, tylko...

jajami handlować! Odrobinę kapitału niech mam... no, jakieś kilkaset rubli... i mogę do konkurencji z Żydami stawać. Taki, panie, u nas pozytywizm się zagnieźdża!

— Pozytywizm... — dziwił się Wawelski, obserwując uśmiech panny Wandy, z jakim oskubywała listki polnej skabiozy.

Długo, szeroko i patetycznie rozpowiadał pan Świerkowski o daleko sięgających planach założenia w Trebizondowie sklepu akcyjnego, gdzie on pełniłby rolę subiekta, o nieuniknionej ruinie handlu żydowskiego dzięki samej tylko zniszczonej na żelazie, o uprawie pszenicy sposobem pana Peplowskiego, o melioracjach, nawozach sztucznych, nawet o azocie i Liebigu — i piorunował na niedołęstwo szlachty.

— Ja sam, niestety, takim capem byłem... Nie piłem, nie jadłem, w karty-m nie grałem... i rozlazło się; gdzie, jak i kiedy... nic nie wiem. Żydy, panie, o, tu jest rdzeń... Co prawda — szeptał Wawelskiemu do ucha — czasami tam z tymi aktorkami... pojmuję pan? Przyjedzie do miasta gubernialnego stado takich ładnych bestii, że ani podobieństwo wytrzymać. Tak; to była rubryka także swego rodzaju... Ale dziś mi się, panie, oczy otworzyły: sami rękawy powinniśmy zakasać albo, panie, *kaput!* Na mnie już dowcipnisie anegdota układają. Opowiada jeden na przykład, jeden pędziwiatr, że jedzie niby bryczką, aż tu patrzy... na drodze leży kupa jaj potłuczonych, a między skorupkami biała karteczka. Co takiego? Podnosi on tę kartkę... patrzy... bilet wizytowy, na którym stoi moje nazwisko: Wiktor Jaks-Świerkowski. To ma być dowcip, że niby mi się jaja w drodze potłukły i żem tę jajecznicę, w braku innego przyrzędu, biletem wizytowym zgrzebywał. Głuptasy! ja jeszcze pieniądz zrobię, gdy oni... No... ale chodźmy na barszcz, bo rzeczywiście w ustach, uczciwszy uszy, jak w niewyszlamowanym stawie.

Wkrótce po spożyciu owego barszczu, podanego rączkami panny Wandy, Wawelski ruszył najbliższą drogą do domu, żegnany czule i zapraszany nadal uroczyscie.

Pan Józef Wawelski, nieboszczyk ojciec Adama, posiadał swego czasu w jednym z miast prowincjonalnych świetny „interes” mydlarski, składający się z fabryki na wielką skalę i dużego sklepu. Wawelscy pochodzą z Żydów, chociaż dziad Adama był już żarliwym katolikiem, a i pradziad podobno jawnie świninę jadał, chociaż pozornie trwał w wierze ojców. Pan Józef był człowiekiem prostym, nigdy żadnym umiejętnościom się nie oddawał, nie miał żadnego „sposobu myślenia”, bardzo rzadko wypuszczał spodnie na cholewy i miał wówczas minę zakłopotaną; interes prowadził sprytnie, pracował zapamiętale i według powszechnego mniemania dorobił się majątku uczciwie, a przetrzącał parobkom piszczele i miażdżył nosy chłopcom sklepowym w sposób tak mistrzowski i rodzimy, jakby w żyłach jego płynęła odwieczna krew sarmacka. O umeblowaniu salonu, powozie i przyswojeniu sobie przekonania plutokratycznych pomyślał dopiero pod koniec życia, i to nie z własnej inicjatywy, lecz ulegając natarczywym żądaniom żony — Róży z Rubinów. Przez cały czas małżeńskiego pożycia pani Róża była prawą ręką męża w gromadzeniu majątku i nie zdradzała żadnych niewłaściwych nawyków; dopiero gdy jednak Adaś przestał wykradać pierniki z szuflad sklepowych otrzymawszy promocję do klasy czwartej, nabrała skądś zupełnie niezrozumiałych dla starego mydlarza pojęć o „tonie” i przebąkiwać nawet zaczęła o jakimś *high-lifie*...

— Powinieneś pojąć — mawiała do męża w pasji — że obecnie czasy demokratyczne... Jesteśmy katolikami i Polakami... byle chcieć, chłopiec do najlepszych towarzystw dostać się może. Bóg wie, z kim ożenić!

— Róziu — odpowiadał zazwyczaj pan Józef — ja ciebie bardzo kocham i bardzo cię przepraszam, ale ty jesteś głupia. Niech on skończy sześć klas, no, gimnazjum całe niech skończy, i obejmie fabrykę. Ja jestem już stary, będę siedział w sklepie i tych złodziejów pilnował...

Nic jednak nie pomogły perswazje. Adaś po ukończeniu gimnazjum wyekspediowany został do Warszawy na wydział prawny. W rok niespełna po jego wyjeździe pan Józef zaniemógł nagle i skończył życie, nim syn wezwany telegraficznie zdążył przyjechać. Wdowa niezwłocznie interes zwinęła, odstąpiwszy go na lichych warunkach; przeniosła się do Warszawy i żyjąc z procentów od kapitału, usiłowała wprowadzić syna w świat. Latem wyjeżdżała zawsze jeśli nie do wód galicyjskich, to przynajmniej do Trebizondowa.

Adaś, który w gimnazjum z klasy do klasy *piecem* przechodził, w uniwersytecie okazać zaczął talenty niebywale. Nie dość że masy książek czytał, ale wygłaszał niejednokrotnie w obecności matki, fanatycznej katoliczki, i niemniej po katolicku myślących jej znajomych takie zdania, takie zasady, że włosy powstawały na głowie. Okrzyk Börnego: „Zginajcie się w haki i zarzućcie się na ogniwa świata, a o tym wiemy, że go w dobrym pociągnięciu kierunku!” — był ulubionym jego okrzykiem. Utrzymywał o sobie, a może i nawet w to wierzył, że jest jednym z owych haków zarzuconych na ogniwa świata. Po przodkach Adaś nie otrzymał w dziedzictwie żadnych nadzwyczajnych popędów altruistycznych, wychowanie nie wszczepiło mu ich również; nadto nie doświadczył jeszcze żadnego prawie cierpienia, nie wiedział, co to jest właściwie ów pan nad pany — głód, co znaczy choroba, której nie ma za co leczyć, nędza, której nie ma końca, nie wiedział nawet, co to jest brak biletu do cyrku. Nie zdarzyło mu się ani razu zajrzeć z bliska w wygniłe oczy niedoli i zrozumieć gorzką potrzebę niesienia krzywd i grzechów świata we własnym sumieniu, toteż życie właściwie było dlań wesołą komedią, skupieniem werand cukierni, przywoitych salonów, wesołych kobiet, modnych ubrań itd.

Znienacka wdarły się do tego świata promienie dalekowiedzącego humanizmu i wytworzyły w umyśle Wawelskiego szczególne, raczej artystyczne niż naukowe, zamiłowanie do nazw i obrazów niedoli, z jakich znowu splatał się wieniec „przekonań”, dający jego posiadaczowi niewyczerpany temat do rozmów, sprzeczek, dysput i dowodzeń. Naturalnie zjawiał się zaraz wstręt do „kompromisów”... Z przerażającą oczywistością Adaś wyluszczał w salonach bogatym a oburzonym do najwyższego stopnia eks-Żydom, co, kiedy i w jaki sposób stanie się z tą lub ową klasą społeczną; wiedział na pamięć, do jakiego paragrafu wciągnąć dane zjawiska, i przepowiadał rzeczy przyszłe. Wyznać należy, że był w przyswojonych sobie zapatrywaniach bardzo konsekwentnym.

Owo kochanie niedoli, zagładanie z bliska w wygniłe oczy itd. — uważał wprost za szkodliwe dla umiejętnego badania i przeprowadzania w życiu umiejętnych wskazań. Znał i chciał znać fakty pozytywne, przyczyny i skutki — wszelkich zaś „mar mglistych” oraz wszystkiego, co z nimi ma związek, nie uznawał, ponieważ ich nie rozumiał, a więc nie uważał za potrzebne powstrzymanie się od opluwania ich, o ile to mu się wydawało koniecznym. Był natomiast o tyle bezstronny, że wyjeżdżając na wieś zamierzał niejednokrotnie przyjrzeć się tak zwanemu ludowi, lecz że między willą Odrobinka a najbliższą siedzibą „ludu” leżał ogromny kawał zarosłego pastwiska, porzucił więc tę myśl w samym jej zarodku, tym łatwiej, że popieranie interesów chłopskiego podwórka nie mieściło się na horyzoncie jego altruizmu. Siedząc w Trebizondowie, zachodził z nudów na dworzec kolejowy, nie wiedział bowiem, że sala drugiej klasy tego dworca stanowi dla mężów trebizondeńskich pewnego rodzaju *agorá*. Owego pamiętnego popołudnia wypadło właśnie tygodniowe zebranie i Adaś wciągnięty na nie został na prawach członka nadzwyczajnego, wskutek czego spił się nadzwyczajnie.

W kilka dni po pijatyce pani Wawelska, pragnąc podziękować państwu Świerkowskim za opiekę rozciągniętą nad jej synem, przyoblekła się w jedwabne szaty oraz biżuterię i pojechała z wizytą do willi szlacheckiej. Adam towarzyszył matce. Zaledwie pani Róża zaczęła nudzić panią Zofię długimi okresami, panna Wanda wysunęła się z saloniku do ogrodu. Wawelski przyglądał się przez czas pewien starym, powygniatanym fotelom i niezwykle zakopconym sztychom, wyobrażającym jakieś krwawe boje, przerzucił numery „Kłósów” sprzed lat ośmiu, a wreszcie, zachęcony filuternie łagodnym uśmiechem pani domu, wyniósł się również. Panna Wanda przechadzała się po zaciętej uliczce w głębi ogrodu; gdy zbliżył się, przechyliła niedbale głowę i rzekła:

— Myślałam, że się pan już nie domyśli...

— Czego?

— Tego, że tyle czasu, bo pewno z kwadrans, nie jest pan przyjemnym warszawiakiem.

— Dla siostry pani?

— Dla siostry mej siostry.

— Ach, Boże! Ja ani tam, ani tu nie umiem być przyjemnym.

— I czemuż to, biedny panie Adamie?

— Bo straciłem wszelkie probierze krytyczne...

— Pragnęłabym szczerze współczuć panu, ale nie rozumiem, co to znaczy.

— Idzie tutaj o kolor błękitu. Raz wydaje mi się, że najpiękniejszym jest jasny błękit, kiedy zaczyna się zmierzch, to znowu czaruje mię lazur południa, czaruje jak preludium Chopina.

— I długo trwa ten ostatni stan bolesny?

— Trwa chwilkę, ale...

— Wiem: ta chwilka to wieczność. Czytałam już o tym w ponurych nowelach. Niech się pan upaja chłodem wieczornego błękitu — mówiła, siadając na darniowej ławce, otaczającej dokoła gruby pień jabłonki.

— Chłodem? Co znowu? Poezją, proszę pani, dramatem wreszcie. Ale ja przecież jestem podobno synem Południa: złośliwi nazywają, co prawda, taką przykrą południowość po prostu żydostwem; więc, jako niby syn Południa, kocham tylko te szafiry ciemne, cudowne, porywające...

— Aż kocham? Panie Wawelski, synu Południa...

— Aż kocham!...

— No i cóż się dalej stało w tej noweli?

— Piękny bohater truchleje z trwogi, że przepiękna bohaterka nie pozwoli mu usiąść obok siebie.

— Nieszczęśliwy! Czyż nie znajduje dokoła siebie na tym padole płaczu jakiegoś krzeselka?

— Krzeselka... nie, ale znajduje w sobie tyle odwagi, że siada obok ubóstwianej.

— Rozumie się, na brzeżku kanapy.

— Ponieważ okrągłe kanapy nie mają żadnego brzegu...

— Więc biedak stoi, a pragnąc być uprzejmym i zajmującym zrywa różę, tylko nie tę sztawową, bo te pan Świerkowski sprzedaje po piętnaście groszy za sztukę, ale tamtę, z tego dużego krzaka, pąsową...

Adaś zerwał wskazaną różę i niosąc ją ostrożnie, mówił:

— Bohater dotyka róży ustami...

Panna Wanda oparła głowę o pień drzewa i przyglądała się Wawelskiemu spod rzęs. Ledwie dostrzegalny rumieniec zabarwił jej policzki.

— Co pan powiedział? — zapytała cicho.

— Mówiłem — szeptał Adaś siadając obok niej bardzo blisko — że...

— Ależ, panie Adamie, jak pan śmie!... — mówiła z oburzeniem udanym, odsuwając się od niego na odległość cala.

— Czyż ja śmiem cokolwiek?... Chciałem tylko, aby pani dotknęła paluszkiem tej róży.

Pochylił się bliżej ku jej skroniom. Zapach włosów i ciała na wskroś go przeniknął. Słyszał, jak mu bije gwałtownie serce, widział, jak jej oczy ciemnieją, niby od napływającej do tęczówek fali błękitu, jak białka pokrywają się siateczką delikatnych naczyń, jak usta rozchylają się i pąsowieją, i przepyszne ramiona ledwie dostrzegalnie drgają.

— Niech pan usiądzie tam, dalej... Proszę wziąć sobie tę różę i przypiąć do żakietu.

— Nie dotknie jej pani ani jednym paluszkiem? Nie prawą ręką, broń Boże! lewą... Przecież lewą można, o, tym paluszkiem...

Położył na jej wypieszczonej i miękkiej jak bukiet fiołków rękę swoją i gładził ją, ledwie dotykając. Gdy chciał tę rękę podnieść do ust, panna Wanda usunęła ją, uśmiechając się przekornie. Teraz wstrząsnęły nim te same dreszcze i jakby odebrały mu samowiedzę. Pochylił się nagle i ucałował usta panny Wandy.

— Ach! — krzyknęła gwałtownie i zerwała się z ławki, lecz ręka jej pozostała w jego dłoni. Stała z przymkniętymi powiekami przed Adasiem, oblana po brwi rumieńcem.

Z tego gwałtownego jej ruchu, z tej nawet chwilowej bezwładności Wawelski wynioskował, że na ustach panny Wandy złożył pocałunek — on pierwszy. Sprawilo mu to nieopisaną, przez mgnienie oka trwającą rozkosz. Schylił się, aby nieznacznie pocałować jej rękę, którą pieścił; wtedy panna Wanda wyrwała ją i odeszła.

Z odległości kilku kroków rzekła, nie odwracając się:

— Proszę nie iść za mną, bardzo pana proszę...

— Panno Wando, niech mi pani przebaczy! — mówił Adam w pewnego rodzaju zgłupieniu. Nie wstał jednak z ławki. Z dala od ganku słychać było rozmowę zbliżających się pań starszych.

Panna Wanda wracała ku ławce. W oczach jej cudnie zawstydzonych malowało się ukrywane pod maską min przeraźliwie surowych uczucie szczerej i radosnej rozkoszy. Zbliżywszy się mówiła ze zmarszczonym czołem i nie patrząc na winowajcę:

— Co pan zrobił? Jak pan się ośmielił? Co za bezczelność!... Ja teraz chyba ospy dostanę ze wstydu!...

— Ja panią przepraszam, ja serdecznie żałuję, ale pani ma takie prześliczne oczy...

— Znowu bezczelność!... nie, wie pan, że to coś przerażającego!

Stała tak blisko, że Adam nie mógł się powstrzymać, aby jej nie objąć. Nim pani Wawelska i pani Zofia weszły na uliczkę, zdołał przyciągnąć pannę Wandę do siebie łagodnie i w ciągu niewysłowionej sekundy trzymać ją w objęciach. Panna Wanda była pewna, że w tej chwili bogaty młodzieniec oświadczy się o jej rękę i dlatego nie opierała się. Wtem usłyszała rozmowę i odsunęła się chyżo. Pani Wawelska szła uroczyście, wykładając coś bardzo poważnego. Gdy podeszły blisko, pani Zofia przyglądała się siedzącej na ławce parze z uśmiechem zadowolenia. Stara dama zajęła miejsce na ławce i potoczyła się rozmowa, wahając się między powieściami Kraszewskiego a konfiturami z niedojrzałego agrestu.

Słońce za las zachodziło. Na łąkę wpełzała mgła jasna i rozpościerała się cisza letniego zmierzchu.

— Przecudny wieczór — zauważył Adam. — Co za cisza! „Słyszę, kędy się motyl kołysze na trawie, kędy wąż śliską piersią dotyka się ziola”.

— Słyszysz pan, że wąż się dotyka?... — zapytała pani Zofia z uśmiechem. — Ach! te ziola... Rozsada, buraki, selery.

— Nie lubi pani wsi?... — zapytał Wawelski.

— Wieś lubię i nie potrafiłabym literalnie wyżyć w mieście, nie mogę tam wytrzymać przez trzy dni, ale najbardziej lubię wieś wtedy, gdy wszystkie „ziola” leżą w beczkach, słoikach, w piwnicy. Jesień, to dopiero prawdziwa radość moja! Idę wtedy do lasu i siedzę sobie tam z robotą. Widział pan kiedy las w jesieni, podczas szarugi i wichru? Zdaje się, że świerkom zimno, gałęzie tulą się do pnia niby ręce zmarznięte. Czasami znowu wydaje się, że drzewa wpadają w straszny gniew, że powydzierają z ziemi korzenie i pójdą dokądś w świat... Szczególniej lubimy obiedwie z Wandą szum jesienny. Raz chodziłyśmy tak po lesie ze dwie godziny, nic do siebie nie mówiąc. Mżył deszcz, poubierałyśmy się więc w grube obuwie Wiktora, pamiętasz, *szwesterko*? Najlepiej myśleć sobie wtedy, podczas głuchego szumu i huku idącego górą po szczytach.

— Myśleć czy marzyć? — zapytał filuternie Wawelski.

— Marzyć? Może Wanda marzyła, bo ja dałam już marzeniom dymisję od dawna i patrzę na świat bardzo szaro. Rok temu, gdy Wandzia bawiła u nas w jesieni, chodziłyśmy czytać Mickiewicza. Ja go bardzo lubię, bo to taki sobie dobry, poczciwy, prosty, a taki mądry człowiek. Czasami się egzaltował, ale bardzo rzadko. Szczególniej lubię, jak on opisuje miejscowości w *Panu Tadeuszu*. To takie jest dziwne... Albo gdy smutnie pisze, to każdziuteńki wyraz jest mądry: czasami jedno słowo ma ogromną masę znaczeń. Prawda, panie?

— O, tak... Mickiewicz... rzeczywiście... Tylko że to zacofaniec, według mnie, straszny, który nic nie widzi poza swoim powiatem. Rad by skisnąć w swych pojęciach upartych i nieraz ogromnie ciemnych. Szczególniej ten jego cały towianizm — coś tak komicznego.

— Towianizm? — zapytała ze zdziwieniem pani Zofia — co to znaczy?

— Ja lubię bardzo Heinego — rzekła panna Wanda, spoglądając ukradkiem na Adama.

— Ba! Heine — uśmiechnął się — to król.

Pani Róża przysłuchiwała się tej rozmowie z sympatycznym uśmiechem, wykazującym, że stara dama zupełnie nie pojmuje, o co idzie, a ponieważ wieczór zapadał, zaczęła zabierać się do powrotu. Dorożka dawno odjechała, wypadało wracać piechotą, a że wieczór był prześliczny, więc pani Świerkowska i panna Wanda oświadczyły się z chęcią

odprowadzenia nie tyle zapewne pani Róży, ile jej syna. Student znalazł już drogę przez las, podjął się tedy prowadzić karawanę. Od szlacheckiej willi do Odrobinki była zapewne z wiorsta drogi, willa bowiem leżała po przeciwnej stronie miasteczka. Ciemno już było zupełnie, gdy całe towarzystwo dosięgło wreszcie stacji kolejowej i kilkunastu domostw porozrzucanych wśród lasu. Pani Zofia nie chciała wstąpić do Odrobinki, gdyż spodziewała się powrotu męża z Warszawy i nie mogła zaniedbywać swych zajęć gospodarczych. Adaś odprowadził te panie tą samą drogą.

Wszedł księżyc i nastąpiła jedna z tych nocy letnich, a może ta noc w lecie jedyna, gdy na ziemię zstępuje czar przedziwny. Tkwił w bładoniebieskiej przestrzeni rozmielony pył świetlisty, podobny do niezmiernie rzadkiej mgły, ledwie widzialnej. Przez konary świerków wdzierały się do głębi lasu białe promienie księżycowego światła i rzucały na jego dno oraz na pnie i leśną podszewkę bezkształtne plamy. Zimne światło odszukiwało krople rosy, leżące jak w miskach — w zagłębieniach listków i szyszek; czepiało się brzegów uschniętych zeszlazanych igieł, co przygniatają jak bale i płyty — kielki wypychające się z gruntu; wciskało się między włókna mchów i w nory pniów zbutwiałych.

Po całym lesie błąkały się jasne blaski jak widma. Stanąwszy na brzegu lasu pani Świerkowska zwróciła się do Wawelskiego, żegnając go; willa szlachecka była tuż za łąką.

— Mamy jeszcze tylko kilkadziesiąt kroków — mówiła — minimy mostek i wrócimy przez furtkę. Nikt nie zauważy naszego spaceru.

Otułiła się szalem pod szyję i zwróciła twarzą do Adama. Na twarz tę padło światło, zamigotało jak lśniąca pyłka we włosach z lekka wzburzonych nad czołem i nadało tej głowie jakiś wyraz szczególny. Student doznał takiego wrażenia, jakby panią Zofię w tej chwili dopiero po raz pierwszy zobaczył. Rozkoszny spazm ścisnął go w okolicach diafragmy i słodko obezwładniał. Radość wewnętrzną a bezmyślną sprawiło mu fizyczne przypatrywanie się tej twarzy, nacechowanej w tej chwili czymś niewysłowienie znajomym i bliskim.

— No, dobranoc panu — rzekła pani Zofia.

Panna Wanda serdecznie i z trwożną namiętnością uściśniła rękę Wawelskiego.

— Dobranoc — rzekł jakimś nieswoim i mimo woli smutnym głosem, uklonił się i patrzył na oddalające się sylwetki tych pań. Długi, dziwaczny cień, padający od ich postaci, posuwał się po rosą ubielonej łące, wydłużał się, zwężał...

Wtedy młody człowiek poczuł w głębi serca jakby próżnię. Czuł bezwiednie, że mu czegoś brak, brak niesłychanie.

„Tu przed chwilą stała ta pani — myślał — o dwa kroki ode mnie... taka nadzwyczajnie piękna...”

Z wysiłkiem uprzytomnił sobie oczy pani Zofii, barwę jej twarzy w świetle, dźwięk ostatniego wyrazu i schwytałszy te kształty szczególnym pojmowaniem, poszedł do domu szybko, co tchu, szerokimi krokami, jakby przed kimś uciekał ze zrabowanym skarbem.

Nazajutrz wstał bardzo wcześnie i poszedł do lasu. Sprawilo mu przyjemność brodzenie po dywanie z zeschniętych liści grabowych w dalekich zakątkach lasu, błąkanie się fizyczne, kiedy wszystkie myśli błąkały się tak samo. Było to pewne rozbicie i rozproszenie się zdolności, nagły zanik pamięci, zatracenie rozsądku i sprytu. Nie pamiętał tego poranka nic, literalnie nic, oprócz koloru niebieskiego stanika pani Zofii, a właściwie pamiętał tylko o jakiejś plamie niebieskiej, i to nieprzerwanie obecne a bezmyślne wspomnienie, będące jak gdyby wytworem nieświadomego myślenia, sprawiło mu przejmującą jątrzącą skrycie, głęboką rozkosz. Ilekroć usiłował uprzytomnić sobie cały dzień ubiegły, rozmowę z panią Zofią, rysy jej twarzy — gubił się w niejasnej pustce.

Okolo południa wyszedł na brzeg lasu, położył się na mchu w pobliżu drogi prowadzącej przez łąkę do willi szlacheckiej i patrzył. Słońce paliło; wysoko, w bezchmurnym niebie krążyły kanie, wołając przeciągle swoje „pić-pić!”, na łące, w lesie, na drogach panowała nieruchoma cisza. Ze wzgórze, gdzie się ukrył, widać było dach willi połyskujący w słońcu, czuby drzewek ogrodowych, szary parkan, żółty piasek na drodze, błyszczący złotawym blaskiem. Wszystkie te punkty zwracały i przykuwały do siebie jego uwagę, ale w sposób dziwny; były to formy jego uczucia bezwiednego, kształty przemijających to udręczeń, to uniesień dziecinnie wesółych. Chwilami nie zdawał sobie zupełnie

sprawy z kierunku tego chaosu wrażeń i pojmował to tylko jedno dręczącą i niecierpliwą półwiedzą, że ta droga żółtawa, przerośnięta skrawkami murawy, leży tak nieskończenie daleko, że tamtędy nie pójdzie w tej chwili, że nie można, nie podobna...

Nierychło przypomniał sobie, że trzeba iść na obiad, i powlókł się do domu ze zwieszoną głową. Po południu wrócił co tchu na zajęty rano punkt obserwacyjny. Wzgórze to, do połowy wykarczowane przez pana Świerkowskiego i zasiane owsem, który kołysał się teraz wełną ciemnozielonych piórek pod tchnieniem ciepłego wiatru — wieńczyła kępa niskich chojaków. Leżały tam stopy wykopanych przy karczunku kamieni, kupy suchego jałowcu powydzieranego z korzeniami i wykroty pniów starych. Wawelski wpełzał między krzaki, zdejmował kapelusz, kładł się na mchu i czekał. Nie miał żadnej nadziei zobaczenia dziś pani Zofii, a jednak czekał na coś, podniecany przez niejasne, sennie przecucia.

Ukośne promienie słońca padały na drogę dźwigającą się z dołu między dwiema podartymi przykopami, zarysowały wyraźnie każdy krzaczek tarniny, każdy kołek i żerdź zmurszałego płotu, i zdawało mu się, że zbliżały te ciemne punkty, jedynie odbijające od tła jasnozielonej przestrzeni.

W głębi zabudowań szczekał z nudów jakiś pies. Chwilami szczekanie rozlegało się głośniejszy czy może wiatr wyraźniej niósł jego echo — wtedy Adam podniósł głowę. Nic nie widać, nie ma nikogo...

Dla oszukania własnej niecierpliwości obserwował ciche życie dna lasu, licząc, że zajęcie to skróci czas między chwilą obecną i tą chwilą bezgranicznego upojenia, jaka może nadejść, a może nie nadejść wcale. Upływały minuty, kwadranse, godziny...

Oto mały pajak na krótkich, kabłąkowatych nogach mknie szybko po badyłu konwalii, przeskakuje z listka na listek jak zwinny góral, dobiega do szczytu i siedzi tam, w zamysleniu przebierając nogami. Skacze zniecka na sąsiedni kwiatek, wdziera się na jego wierzchołek i cały, z nogami i szarym cielskiem, pakuje się w kieliszek kwiatu. Siedzi tam nieruchomo jak zbójnik tatrzański. Po tym samym badyłu spina się z mozołem do góry brunatna boża krówka; jak uboga kobiecina z brzemieniem na plecach, lezie i zsuwa się maleńki syzyf, opiera się silnie nogami i usiłuje dotrzeć do tego właśnie dzwonka kwiatu, gdzie siedzi chybki rozbójnik.

„Jeżeli dojdiesz, maleńka — myśli Adaś — to pani Zofia... tu przyjdzie... pani Zofia... Zofia...”

Wiatr przynosi wyraźne, radosne szczekanie psa — i nim boża krówka zdołała wstąpić na odnóżkę małego badyła, z bramy folwarku wysuwają się dwie jasne figury. Błyszczą w słońcu pąsowa parasolka, a opodal — niebieska suknia.

— To idzie pani Zofia — szepcze Wawelski, przypadając twarzą do mchu w jakimś ogłupieniu czy szale radości.

Serce mu bije, krew pulsuje w skroniach, w gardle zasycha. Wkrótce sływać już odgłos rozmowy, niejasne dźwięki odbijają się o ścianę lasu, przerywa ciszę krótki, urywany wybuch śmiechu, potem wszystko znowu zacicha. Za chwilę te panie rozmawiają już w lesie — wyminęły schronienie Adama, nie zauważywszy go; panna Wanda śpiewa półgłosem preludium: „Czemu w sercu smutno?...”

Wówczas student jął na gwałt oczyszczać ubranie z igieł świerkowych i mchu, wstał i wysunąwszy się na drogę, podążył w kierunku echa rozmowy.

W głębi lasu przecinały się na wzgórzu, tworzącym maleńką polanę, dwie zapuszczone drogi. W środku stał spróchniały pniak starego świerka, obdarty z kory i porzeźbiony śladami dróg drzewojadów. Przy pniaku siedziały obiedwie damy w pozach nie tyle malowniczych, ile niedbałych. Kiedy Wawelski zbliżył się i mógł widzieć twarz pani Zofii, uspokoił się nieco, aczkolwiek nie mógł zebrać rozproszonych myśli i wrażeń.

Panna Wanda była niesłychanie zadowolona z jego przybycia, kokietowała go oczami, ruchami, pantoflami, półsłówkami, uśmiechami, a nawet usiłowała drażnić, oddalając się co pewien czas o kilka kroków. Wówczas Adam mógł rozmawiać z panią Zofią i patrzeć jej w oczy. Uderzał mu wtedy do głowy jakby czad, dzięki czemu nie mógł mówić głośno i najwyklesze zapytania i odpowiedzi wypowiadał zdławionym szeptem.

Pani Zofia siedziała na murawie, oganiając komary gałązką świerczyny. Teraz wsiąkły w jego pamięć na zawsze rozmaite szczegóły: kształt jej ramion, piersi, kształt pod-

winiętych nóg odciskający się na sukni, charakterystyczne pochylanie na bok głowy, gdy wymawiała rzadko przez nią używane wyrazy, leniwe wznoszenia się powiek, dźwięk śmiechu, śmiechu półgłosego, jakby był zaledwie echem czyjejś wesołości. Adam doznawał wreszcie radosnego upojenia, jakie niedawno przeczuwał, a jakie teraz zdawało się uciekać, wyrwać się, unikać go... Każde zbliżenie się panny Wandy sprawiało mu niewypowiedziane cierpienie, każde jej słowo wydawało się nierozsądnym, każde spojrzenie wyzywającym, natrętnym i nudnym.

Gdy się słońce nachylać zaczęło ku zachodowi, mieszkanki willi poprosiły Adama na herbatę. Poszedł z wielką chęcią. Pan Świerkowski był już na ganku, gdy się do willi zbliżyli. Pragnąc ufetować swego gościa, w którym przeczuwał jakiegoś demokratę, używał co kilka słów: „bo to, uważa pan, ta nasza szlachta...” — „ja tam z całą szlachtą o... tyle nie mam styczności...” itd.

— Ale i ten chłop — wołał — to jest także! Tak się to mówi: chłop, chłop... Daj mi pan z łaski swojej takiego chłopca, który by wziął ode mnie ogród w dzierzawę. Parch, uczciwszy uszy, przychodzi, wylicza siedemdziesiąt pięć rubli, siedzi całe lato w budzie, nie wiem, czy on tam je co, czy, bestia, nic nie je — dość że ja moje siedemdziesiąt pięć rubli mam w kieszeni i on na pewno zarobi. Ja bym z duszy-serca rad zgnieść Żydów ze szczerem, ale komuż ten ogród wypuszczę? — wołał z desperacją. — Chłop będzie mi miesiąc medytował, potem się namyśli i da, wie pan ile?... czterdzieści rubli!... Będzie się sam objadał gruszkami, będzie spał w nocy, owoc mu rozkradną, sam straci i ja na jego handlu. On musi się objeść, papierosika wypalić, wódeczki w niedzielę... No, daj mi pan chłopca, który by mi zastąpił Żyda, który by sam zarobił i mnie dał tyle, ile daje Żyd? No, panie Wawelski...

— Skądże ja mogę wziąć jakiegoś chłopca? Może gdyby w Kurierze ogłosić... — tłumaczył się Adam, a jednocześnie przez mózg jego przemknęła myśl przykra, że w tym ogrodzie latem będzie jakiś Żyd siedział.

— Tak ci moja! — śmiał się Świerkowski — w Kurierze ogłaszać... Jeszcze i na Kuriera z pięć złotych wydać; zresztą, czy pan myśli, że chłopcy czytają pisma?

— A cóż ci chłopci — koniecznie mają brać pański ogród?... Miał pan zamiar wysłać owoce do Warszawy, sam skutecznie tę manipulację...

— Tak się to mówi... sam... manipulacja... A ile to ja wydam na koleje, na jazdy, na hotel w Warszawie? Panie! — wrzasnął nagle — jeśli my się sami Żydami nie staniemy, Żydami — panie! to ja sobie rękę daję uciąć, że nie zwyciężymy tych pijawek!

Wawelskiemu zrobiło się trochę nieswojo wobec perspektywy stawania się znowu Żydem, szczególnie gdy patrzył na przymusowo poważną minę pani Zofii.

Świerkowski, wybierając się o zmroku do obory i stajni, zaproponował Adamowi zwiedzenie gospodarstwa. Poszli tedy obadwaj. Oglądali parę młodych i ładnych koni; szlachcic kazał je natychmiast wyprowadzić, prezentował ich nogi, kłęby, kopyta, łopatki, szyje, odsady ogonów itd., a zachwalał, jakby miał przed sobą nabywcę. Przeszli następnie do obórki, aby obejrzeć krowy. Znowu zaczęło się wyliczanie przymiotów, życiorysów, narowów i wad każdej krowy z osobna. Studenta nudziło już to wszystko śmiertelnie, toteż pragnąc zakończyć szereg przymiotów jakiejś Kwiatuli, rzekł:

— Tak, to śliczna krowa; co za odsada ogona!

Świerkowski wytrzeszczył oczy i zaczął tłumić śmiech w taki sposób, jakby połykał jeden po drugim surowe buraki.

„Czego się ten plantator śmieje?” — zapytywał siebie w duchu Adam, gdy wyszli wreszcie spomiędzy stosów nawozu i skierowali się ku domowi mieszkalnemu.

Na tle bukietów rozkwitłego bzu, którego cały gaj rozrósł się dokoła ganku, widać było głowę pani Zofii. Niedawny śmiech Świerkowskiego, jego obecność w danej chwili i widok tej głowy, coraz piękniejszej, sprawiły, że Adaś po raz pierwszy pojął, co się z nim stało; zrozumiał tę klęskę, ten cios, to nieszczęście, że pani Zofia jest żoną takiego oto pogromcy Żydów. Głucha i ślepa energia instynktu miłosnego spotkała się po raz pierwszy z tamą, z nieugiętym i brutalnym hamulcem, toteż w mgnieniu oka stała się przyczyną paroksyzmów cierpienia, kłuszących zniechęca jak przypalenie rozpalonym drutem, a przepadających za chwilę przy napływie wrażeń miłosnych, przychodzących z zewnątrz, aby tę słodką i rozkoszną energię do nowych wybuchów zasilać. Nadmierną i dominującą

nad zdrowym rozsądkiem litość dla dopiero co powstałego uczucia zmieniał gorzki żal do pani Zofii, żal nieutulony i skłaniający do łez prawie. Poczucie dokonywującego się bezprawia, poczucie prawie fizyczne, bo ścisnęło za serce, tętniło w pulsach i uderzało do głowy falą krwi, odszukało wreszcie w duszy Adama jakiś punkt i zatliło w nim coś złego. Ten mąż, z jego wąsami, butami, grubymi paluchami i wargami młaskającymi, zaczął mu ciężżyć na ciemieniu jak kamień młyński. Przy herbacie, podczas gdy szlachcic usiłował rozweselać wszystkich cytowaniem kolejnym anegdot, jakie praszczurom jego obmierzły już od częstego powtarzania, Adam wpatrywał się w talerz z nieopisanie cynicznym uśmiechem. Nie mógł, literalnie nie był w stanie podnieść oczu ani na Świerkowskiego, ani na panią Zofię. Żył mu na czole nabrzmiały jak strąki grochu, nozdrza drgały, ręce potniały, łzy piekły w oczach.

Zaraz po herbacie żegnać się zaczął. Obydwie siostry przyglądały mu się z nadzwyczajną ciekawością i zdziwieniem. Świerkowski przeprowadził go z latarką przez ogród i nagadawszy jeszcze wiele rzeczy wypuścił przez furtkę w parkanie. Młody człowiek szedł po kretowiskach i ścieżkach wydeptanych przez bydło, niosąc w sobie smutek taki, jakby go spotkało jakieś wielkie i niespodziewane nieszczęście. Wszystko teraz było mu obce — cały świat, książki, idee nie miały z wewnętrzną treścią jego duszy żadnego literalnie związku. Czuł się obcym na ziemi, rozbitym w sobie, opuszczonym i samotnym...

Pani Świerkowska i jej siostra znajdowały codziennie na pniaku w lesie bukiet narcyzów, ilekroć szły na spacer. A chodziły od ostatniego spotkania się tam z Adamem każdego odwieczera bardzo regularnie. Panna Wanda biegła zazwyczaj naprzód i dostrzegłszy na rdzawej powierzchni pnia wypukłą, białą plamę śmiała się głośnym, głęboko zadowolonym śmiechem zwycięstwa. Obydwie były pewne, że Wawelski oświadczy się lada dzień, że matce jego pochlebiać będzie taki związek, że tedy... Pani Zofia cieszyła się również z tego tryumfu, aczkolwiek nie mogła się zgodzić, zdecydować wewnętrznie na moralne i rodzinne zbratanie się z pięknym mechesem. Nie krępowały jej żadne uprzedzenia szlacheckie, знаła bowiem aż nadto dobrze wartość pieniędzy i pragnęła z całego serca uchronić za jaką bądź cenę od ich braku swą siostrę, ale nie mogła przewyciężyć skrytego i niewytłumaczonego uczucia iście kobiecej niechęci. Stały jej w oczach dzieci, istoty niewinne, które zjawiają się na świat, dzieci Wandy... A nuż powyrastają im garbate nosy i odstające uszy! Adam jest pięknym chłopcem, nie ma ani w rysach twarzy, ani w całej postaci, ani w mowie, ani nawet w charakterze cienia żydostwa, ale te dzieci, te dzieci... Panna Wanda nie doświadczała żadnych tego rodzaju niepokojów — tym więcej, że pokochała Adasia nagłym, namiętym i niecierpliwym uczuciem, jakie wobec warunków nieodpowiednich znika szybko, wobec sprzyjających nie trwa również dłużej nad niewyraźny kres miodowego miesiąca.

Nad wszelkimi zresztą humanizmami górowała ta zasada: Adaś jest bagaty, za rok będzie skończonym prawnikiem, a ona mieszkać będzie w Warszawie. Kiedy zestawiała nędzne położenie guwernantki, istoty najbardziej na ziemi nieszczęsnej, z położeniem mecenasowej, bogatej mecenasowej w Warszawie, czuła, że nad życie kocha Adasia.

Tymczasem Wawelski nie dla niej przynosił codziennie sześć pachnących narcyzów, nie dla niej wstawał rano, zrywał i niósł te kwiaty, jeszcze kroplami rosy okryte, mając w oczach mgłę, a w sercu smutek, dla którego jedynym ukojeniem były właśnie białe, wywinęte listki narcyzów. Były to symboliczne kwiaty: każdy z nich oznaczał jedną z liter wyrazu... „kocham”. Adaś przychodził do pniaka rano, kładł kwiaty i szedł następnie dokądś, daleko w las, aby w zapadłych jego kątach leżeć na ziemi i patrzeć przez gałęzie w niebo. Po południu spotykał piękne siostry na polance i patrzył z cynicznie mściwym uśmiechem na pieszczanie jego kwiatów przez pannę Wandę; czasami nic prawie nie mówił, a czasami zachwycał swe słuchaczki naukowo-artystycznymi monologami, wypowiedzianymi z nienaturalną swadą i zamaszystością, jakby pragnął pokazać, co umie, czym jest. Był wszędzie, dokądkolwiek udawała się z siostrą pani Świerkowska. W sklepach, w kościele, na rozmaitych nudnych wizytach zjawiał się jak cień. Nienawidził prawie teraz przywłaszczycielki jego symbolicznego „kocham” i odnajdywał w niej mnóstwo przywar, segregował je i codziennie dopisywał w pamięci jakiś nowy szczegół do aktu oskarżenia.

Drwił w duchu z wewnętrzną uciechą z jej modnych stroików, z manii biednej nauczycielki, wydającej wszystkie zarobione pieniądze na suknie i kapelusze.

„Co dzień inny kubraczek: krótki, długi, wcięty, puszczonej wolno, bufiasty, porozpruwany, jasny, żółty, ciemny, czarny — co dzień inna suknia... Co ona ma tych spódnic, zakietów, pantofli, kapeluszy! Ciekawa rzecz, czy też ma czyste koszule, czy jej wystarczy pieniędzy na płótno? Czyż nie jest — myślą — dowodem jej marności moralnej to małpowanie ludzi bogatych, małpowanie uskuteczniane z największym trudem, kosztem gorzkiej pracy, i w jakim celu? — W celu zdobycia na gwałt męża. Nie ma na świecie nic literalnie do spełnienia, tylko zdobyć na gwałt męża. Naturalnie wzgardziłaby człowiekiem rozumnym, ale ubogim, bo na horyzoncie widzi tylko cztery fuchy zapewniające posiadanie salonu: inżynier, adwokat, doktor — ach, inżynier! — i od biedy agronom — *nota bene* nie żaden Świerkowski, ale dzisiejszy ziemianin, młody i nadobnie dumny radca Dyrekcji Szczegółowej... Usiłuje pochwycić tego bogatego młodziana za pomocą prześlicznych, coraz piękniejszych, spódnic i staników. Co za ogon cywilizacji! Co z tej panny za ofiara powszechnej zarazy, zatruwającej życie tego społeczeństwa!

Jest arystokratką, chociaż nie umiałaby nawet tego sformułować; każdy jej czyn, krok, myśl jest krokiem, myślą i uczynkiem wielkiej damy. — Ona nie mieszka, lecz *bawi* — życie jej dzieli się na *sezony*, charakterystyczne według tego, czy dobrze lub źle się bawiono w danym sezonie; jej wiedza, zamiłowanie do muzyki, uczenie się na pamięć rozmaitych mniej lub więcej mdłych wierszy, jej czytanie książek — to wszystko środki reklamowania się, boć ona tego wszystkiego nie lubi, na wszelką pracę patrzy jak na najgorsze złe, warunki życia Świerkowskich uważa za jakąś wstrętną, anormalną, chwilową vegetację, a swoją urodę za pewną wartość, jaką rada by mnie ufetować dlatego, że wie coś o moich pieniądzech. Ruina majątkowa, pensja, życie, książki, niedostatek — niczego jej nie nauczyły, nic jej nie powiedziały... Pożądanie zbytku — oto treść duszy tej dziewczycy; a że ten zbytek może jej się wymknąć, więc zdąża do niego przez wszelkie kłamstwa. Nie upadnie nigdy z jakiejś miłości, bo wie, że to spowodowałoby upadek ceny towaru; będzie szukała tego inżyniera do śmierci, a przynajmniej do staropanieństwa; za pieniądze, jakie wyda na kaprysy mody, można by sklep kolonialny założyć. Ach, ty sroko, papugo, papugo, jakże jesteś śmieszna!...”

Złość i odraza wzrastały w jego sercu w miarę gmatwania się tego stosunku, w miarę coraz większego rozczulania się wzroku panny Wandy. Sądził poprzednio, że tajemnica jego kwiatów odkryta wreszcie zostanie; uknuł nawet zdradziecki plan posługiwania się modną panną jak parawanem, oszukiwania jej, zwodzenia pólsłówkami w tym celu, aby wobec Świerkowskiego i tak zwanego świata mieć pretekst do częstego widywania pięknej mężatki. Atoli narcyzy zdobyły i zdobyły bez końca najbardziej uroczą okolicę gorsetu panny Wandy. Niepodobna było nawet przerwać zanoszenia bukietu, bo cóż by to znaczyło, do czego mogło doprowadzić?

Nosił go więc ze śmieszoną zapamiętałością, rzucał na pniak z jękiem jakiegoś niemądrego bólu...

Panna Wanda zrozumiała nareszcie tajemnicę Adasia panińskim instynktem. Wyśledziła w pewnej chwili jego oczy, gdy skrycie, spod rzęs, całowały, pieściły, obejmowały i tuliły głowę jej siostry. Z tego jednego wejrzenia jej biegłość w kunszcie zawracania głowy wyciągnęła wnioski o stopniu uczuć Adasia. Wnioski te dokuczały jej jak najpodlejsza zdrada, wywlekły z głębi jej serca nie znane dotąd uczucia mściwej goryczy i złego żalu. Musiała zrozumieć, że zniszczony został nie tylko fakt zbałamucenia bogatego młodzieńca, który uważała za dokonany, ale że rozdeptane są marzenia o końcu nauczycielstwa; dotknięta została do żywego duma jej jako pięknej, znieważona jakoby uczciwość przez pocałunek w ogrodzie, oszukany nadzieje, które już przywarły do bukietu narcyzów, zrosły się z samym pojęciem, z wyobrażeniem o kształcie i zapachu tego kwiatu. Gorzko jej było wyrzec się wszystkiego, myśleć, że za dni kilka znajdzie się gdzieś daleko, w obcym domu, w małym „pokoju dla guwernantki” — gdzie znowu będzie rodzajem sprzętu potrzebnego chwilowo, piątym kołem u wozu — gdzie przyjeżdżające z wizytą damy oglądać ją będą od stóp do głów wzrokiem, jakim się ogląda nową guwernantkę, i cenić o tyle, o ile ma dobry akcent francuski — gdzie dokuczać jej będzie tak samo jak tu oszukana łatwowierność i pocałunek, pocałunek ofiarowany za darmo...

„Podobało mu się — myślała — pocałować mię, więc pocałował, przyciskał mię do siebie jak pokojówkę — co za hańba! I nie ma na to rady... Kocha teraz Świerkowską (panna Wanda nazywała odtąd dotychczasową Zosię — Świerkowską), kocha uczciwą mężatkę, matkę, porządną kobietę... Zawiąże się romans, romansik z mężatką...”

To jedno ją pocieszało, że Adaś będzie nieszczęśliwy, cokolwiek by się stało, zawsze będzie nieszczęśliwy. Postanowiła wyjechać niezwłocznie, aby na ohydny romans nie patrzeć i nie brać w nim udziału — a że na miejsce, które opuściła niedawno, mogła powrócić w każdej chwili, zatelegrafowała tedy w sekrecie przed panią Zofią i po upływie dni kilku otrzymała odpowiedź z zawiadomieniem, kiedy na ostatniej stacji kolei będą na nią konie oczekiwać.

Ukartowując ten niespodziewany wyjazd, panna Wanda miała na celu zbadanie ostateczne Adasia. Łudziła się jeszcze nikłym promykiem nadziei, jaki dusił w gardle i lży z oczu wyciskał. „A nuż — marzyła — żal mu się zrobi, a nuż zlituje się ten... Żyd...”

Następnego dnia po otrzymaniu przez pannę Wandę wezwania do wyjazdu Wawelski był w lesie. Siedział jak zwykle oparty plecami o krzak jałowca i monotennie, wyraźnie, za pomocą dobrze uszykowanych zdań, wyluszczał jakąś kwestię społeczną. Panna Wanda nie rozumiała tego, co mówił, była bowiem zajęta układaniem kategorycznej formuły swego wyjazdu, formuły takiej, jaka by zaskoczyła znienacka i jego, i panią Zofię. Obdzierała niecierpliwie palcami listki narcyzów, mięła i gryzła. Gdy mówca przerwał na chwilę potoczysty wykład, wstała i hamując wzburzenie wewnętrzne rzekła do siostry:

— Zosiu, nie siedźmy dziś długo tutaj, bo ja muszę jeszcze pozbierać rzeczy.

— Jakie rzeczy? Po co?

— Wiesz przecie, że dostałam telegram; jutro rano jadę.

— Wandeczko! Cóż ty?... Dlaczego masz jechać? — mówiła pani Zofia, podnosząc się szybko z ziemi, mając już pełne oczy łez.

— Pojadę stanowczo! Trzeba pracować, zarabiać na życie! Namyśliłam się... Stanowczo!...

Wawelski poczuł zimny dreszcz w plecach. Siedział ze spuszczoneymi powiekami, wążąc przebiegle to oświadczenie.

„Czy to dobrze, czy źle; czy dobrze, czy źle? — myślał. — Mogę bardzo wiele zyskać, ale mogę wszystko utracić. Jutro już tutaj «Zofia» nie przyjdzie; nie będę jej widywał, nie będę jej widywał...”

Pani Zofia zapomniała prawie zupełnie o jego obecności i, obejmując siostrę za szyję, prosiła na wszystko, aby nie odjeżdżała. Nic jednak nie pomogły perswazje, a nawet mruganie powiekami. Zjadliwy uśmiezek Wawelskiego utwierdzał guwernantkę w zaciętym i dla niej samej dokuczliwym uporze. Obydwie miały teraz lży w oczach, były wzburzone: szybko pożegnawszy towarzysza spacerów, odeszły do domu.

Nazajutrz raniutko, gdy panna Wanda wsiadała do wagonu i szukała zaognionymi oczami „parszywego żydźki” — w tym celu, aby mu nie odpowiedzieć na ukłon pożegnalny, aby mu nie podać ręki, aby go zmiażdżyć niemym a pogardliwym wyrazem ruchów i twarzy — pogardzony niósł do pniaka bukiet jak zawsze. Szedł szybko; chwilami biegł, co mu sił starczyło. Ten bieg i zmęczenie aż do braku tchu był jak gdyby dobrym przewodnikiem, odprowadzającym z jego nerwów nadmiar trwogi, pragnienia, niepokoju i wzburzenia, które go nękało i nudziło przez całą noc bezsenłą.

Zostawił kwiaty na pniaku i wrócił do domu. Czytał tam jakąś książkę, nie rozumiejąc ani jednego zdania; wycierał mechanicznie chustką wilgotne ręce i czekał wieczora. O zmroku poszedł chylkiem, okrążając las dokoła, dotarł do polanki, starając się nie sprawiać żadnego szelestu i dostrzegłszy, że bukiet, zwinięty i poczerniały, leży na miejscu, wrócił do domu. Nazajutrz znowu zaniósł kwiaty i doczekał się tego samego skutku. Na trzeci dzień był już jakiś chory z uporu i dreszczów oczekiwania oraz podniecenia moralnego. Szedł po południu do pniaka, ulegając mdłemu wiedzeniu — bo nie kombinacji i nie przecuciu, że spotka panią Zofię. I rzeczywiście spotkał się z nią w lesie na ścieżce. Na godzinę przedtem spadł przelotny, rzęsisty deszcz letni, zmoczył ziemię aż do głębi, nappełnił koleje dróg szorującymi wartko potokami, a las dusznym czadem pachnącej wilgoci.

Pani Zofia szła sama, wysoko obiema rękami unosząc suknię i tupiąc co chwila po korzeniach sosen, aby otrząsnąć błoto z przemoczonych trzewików.

Zobaczywszy Adasia zmieszała się i wykonała niezdecydowany ruch, jakby chciała uniknąć spotkania — lecz że był blisko, przywitała się z nim sztywno i nie patrząc na niego odpowiadała niedbale tylko na pytania.

— Czy pan nie wiedział o odjeździe mojej siostry? — zapytała wreszcie, patrząc mu w oczy z obojętnym uśmiechem — Zostawił pan dla niej kwiaty...

— Tak, zostawiłem je tam, jak zwykle, dla pani... — odpowiedział szorstko, nienaturalnym basowym głosem.

— Dla mnie? — krzyknęła prawie i wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

— Może je pani przecie podeptać, rzucić, porwać na strzępy, ale pozostawiłam je dla pani.

Szli kilkanaście kroków, milcząc, jakby się mieli rozejść za chwilę.

— Nie rozumiem pana zupełnie — rzekła z niejaką dumą pani Zofia, chociaż zrozumiała znakomicie. — Mogę tylko nie brać tych kwiatów, nie być tutaj nigdy, dopóki pan nie wyjedzie...

— Będzie pani tutaj choć raz kiedyś, aby zobaczyć trupa wariata, który sobie tutaj właśnie leż roztrzaska... tutaj właśnie...

Zatrzymał się i patrzył na nią suchymi, palającymi źrenicami.

— Panie Wawelski! Co też pan wygaduje?... Bez sensu...

— Wiem, że bez sensu, toteż żegnam... panią...

Dolna szczęką jego zielonkawatobladej twarzy wysuwała się naprzód i drgała konwulsyjnie; oczy cofały się pod powieki i ćmiły bielmem wściekłości.

— Panie! Niech pan zaczeka... Niech pan powie, o co panu idzie; nie rozumiem, czego pan chce ode mnie.

Pamiętała nieustannie, że może ktoś zobaczyć ją samą w lesie z pięknym chłopcem; toteż nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, z pośpiechem oddalała się od ścieżki i przedzierając się przez zwarte zarośla młodej świerczyny, szła w głąb lasu, do tak zwanych Wilczych Dołów. Wilcze Doły były wyrwą między dwoma pagórkami, zacienioną ze wszystkich stron lasem. Na zboczach i ospiskach tego głębokiego wąwozu rosły pochyło, prawie pniami na dół, rozłożyste, okryte mnóstwem liści dębczaki, leszczyna, lipy i graby, nakrywając go gałęziami jak płaskim dachem. Dno wyścielały bujne, przepyszne, nasyczone wilgocią kędzierzawe trawy, wielkie badyle dziewanny, gencjana o fioletowych dzwonkach, kępy lancetowych szczawiów, łopianów. Pani Zofia zeszła szybko po pochyłej szyi parowu w głąb i stanęła tam, trzęsąc się ze strachu. Adam szedł tuż za nią.

— O co panu idzie!... Niech pan powie... Czego mnie pan tak przeraża?

— O nic mi nie idzie... Żałuję, że panią przerażam, ale to mię, uważa pani, nadto już zmordowało...

— Co? Co pana zmordowało?

— Szalona miłość, straszna miłość, głupia miłość, podła miłość! Muszę patrzeć stąd na dom pani, z daleka, muszę myśleć, że pani jest tam z tym mężem, wiecznie dla mnie obca, cudza, na zawsze stracona, pożegnana! Niech pani zrozumie przecie te wściekle myśli, że każdy chłop, każdy Żyd wędrowny, każdy parszywy pies może pójść tam, patrzeć na panią, tylko mnie wara, chociaż za tę rozkosz oddałbym... I tak co dzień, zawsze, na wieki! Nigdy... nie wolno!... nie!...

Mówił to jednym tchem, chrapliwie. Zdjął machinalnie kapelusz i miął go w rękę, tarł i szarpał. Przepocone włosy oblepiły mu czoło; oczy nie miały żadnego wyrazu, jak u obłąkanego; wargi zbladły, jakby były powalane kredą.

— Więc cóż ja mam zrobić, panie, panie Wawelski? — przerwała mu z naiwnym żalem pani Świerkowska, bezwiednie naśladowując wyraz jego twarzy i ton głosu.

— Ach, nic, nic! Skończyć to raz, skończyć...

— Niech pan się uspokoi, mój złoty panie, proszę... — mówiła jak do dziecka.

Te jego włosy, kosmykami przylegające do czoła, wywierały na nią szczególne wrażenie, wydawało jej się, że on już jest poraniony, że na tym jego czole są okropne krwawe rany. W jakimś odurzeniu wyjęła z pośpiechem chustkę i obcierała mu czoło. Było jej

strasznie żał tego chłopca, ścisła ją w piersiach przerażenie gmatwające wszystkie myśli rozsądne: — oto wyjmie z kieszeni pistolet i zastrzeli się, wyjmie pistolet i zastrzeli się — szeptał w niej jakiś głos obcy.

— Panie! niechże się pan uspokoi... — powtarzała krzykliwie, biorąc go i ściskając za rękę. — Co ja tu pocznę, Matko Boża, co ja pocznę?...

— Nic, niech pani powróci do domu, niech pani na pociechę popieści męża. Cóż to panią obchodzi? A ja nie mogę, nie mam siły do zniesienia!

— No, czego pan chce? No, niech pan powie — zaczęła mówić pieszczotliwie, nic już teraz nie wiedząc, gdzie jest, czego od niej chcą, i dygocąc z przerażenia, że on natychmiast się zabije.

Wawelski tak zaciekł się w rozrabianiu poczucia własnego nieszczęścia, poczucia dławiącego naprawdę, i dalszych jego rozgałęzień, którymi półbezwiednie się podniecał, że sam nie wiedział, czego chce. Przez zaćmiewający mu umysł tuman cierpienia przemknęła jednak myśl jasna, że ugodził w serce pani Zofii, że jej dokuczył i tym cierpieniem ją zahaczył, że się nareszcie włamał przemocą do jej duszy; toteż trzeźwiejąc z rzeczywistego bólu, zatrzymał na twarzy wyraz zdecydowanej na wszystko rozpacz.

Widok trwogi i cierpienia w jej oczach rozniecał w nim miłość samą, słodką i radosną. Zaczął całować ręce pani Zofii, wyjękując jakieś wyrazy bez sensu, jakieś nazwy pieszczotliwe, których nie śmiał i nie umiał wypowiedzieć głośno.

— Nie robi pan sobie nic złego? Nie robi pan?... — pytała, nie wzbraniając mu tych pocałunków, głosem wciąż przerażonym...

— Nic nie wiem, nie wiem...

— Niech mi pan da słowo honoru i niech pan jutro rano przyjdzie do nas...

— Nie, tam nie przyjdę! Ja tak kocham, tak kocham...

— Ja muszę pana jutro rano widzieć. Niech pan przyjdzie... Męża nie będzie.

Znaczenie tego ostatniego zdania zrozumiała dopiero po chwili.

— Nie, nie przyjdę tam. Tutaj... — szepnął Wawelski.

— No, dobrze...

Dostrzegła, że się uspokoił, i ochłonęła sama. Szybko podała mu rękę i odeszła blada, zmieszana, zgłupiała.

Burzliwy, zacinający z dołu deszcz trzepał wśród poświstów wiatru w szyby sypialnego pokoju Świerkowskich. Dopiero świt się zaczął. Duża granatowa chmura, okrywająca pół horyzontu, wznosiła się leniwo ze wschodu i osłaniała zupełnie czyste niebo, skąd jak przez szczelinę tryskało purpurowe światło wschodu. Pani Zofia obudziła się, oparła brodę na poręcz łóżka i patrzyła sennymi oczyma przez nie osłonięte okno na ten przepyszny, czerwony blask przełamujący się w niciach wody deszczowej.

— Deszcz... — ziewnęła i przytuliła twarz znowu do poduszki. Było jej w tym półśnie niesłychanie dobrze i wesoło. Chłupanie deszczu w czystej kałuży pod oknem sprawiało melodyjny, usypiający szelest; wiatr stopniowo ucichał i rozszerzała się zorza, zapowiadając pogodę.

— Wawelski... — szeptała pani Zofia poduszce, ledwie zdając sobie sprawę z tego, co oznacza ten wyraz, i wmyślając się przez półsen w to coś rozkosznie wesołego, co się z wyrazem tym kojarzy.

Śpiący w przeciwnym kącie pokoju pan Wiktor pogwizdywał, cmokał, pykał, sapał i wypuszczał chwilami przez nos niepełne basowe tony, na podobieństwo zdezcelowanych organów.

Tuż obok spał cicho w małym łóżeczku nieprzyzwoicie obnażony mały Zygmunt. Koldrę odepchnął nogami, poduszkę zrzucił na ziemię i zwiesił małą opaloną głowę poza poręcz łóżka. Pani Zofia przyglądała się tej jego pozie ze współczuciem, ale leniła się podnieść; wreszcie wstała i podsunęła mu poduszkę pod głowę.

Było jej nie wiedzieć czego wesoło, miała chęć usiąść na łóżku męża i naśladować jego chrapanie. Stuliła wargi, gwizdnęła zupełnie tak jak on, a poczuwszy chłód pociągający od okna wskoczyła na swe łóżko, zwinęła się z głową w koldrę i gwizdała a chrapała tam, wciąż go naśladowując.

— „Trzeba iść do krów, o jej... — myślała — taki deszcz”.

Wyciągała się jeszcze i wygrzewała w łóżku z kwadrans, a potem zerwała się raptem i na pół ubrana, okręciwszy głowę chustką, wyszła na palcach do kuchni. Ogromna dziewczka, zaspana i rozkudłana, poprawiając „ciasnochę”, zbierała skopki, powązki, konewki i budziła szturchańcami drugą, śpiącą jeszcze na barłogu szerokiego werka. Pierwszy złoty, wesoły, połyskujący promień słońca wyrwał się zza chmury i trząsł się w czerwonozielonych szybach okna. Gromady much, obsiadujące ramy i futryny okna, jak czarne plamy i smugi zaczynały rozlaźnić się, brzęczeć i tłuc o szyby; gdakały kwoki, młodziutkie żółte kaczęta snuły się po zabłoconych, czarnych dylach podłogi, łowiąc w lot muchy; osmolony, zgrzybiały kot wylazł z zapiecka i wyginał grzbiet, oblizując się z wrażliwym zdecydowaniem na wszystko obojętności w zaropiałych oczach.

Pani Zofia śmiała się i z kota, i z kaczek, i z zaspanej Marynki. Twardy i wzmacniający sen zupełnie zmienił wczorajszą jej niecierpliwą trwogę na miłe i radosne uczucie zdziwienia.

Wczoraj jeszcze miała zamiar powiedzieć o wszystkim mężowi, aby się uchronić od możliwie niemiłych następstw fantazji młodego chłopca; obecnie, gdy szła do obory i siedziała na jej progu, nie myślała o zwierzeniach i zdecydowała się pójść do lasu.

„Jak on będzie wyglądał dziś, co będzie mówił, czy jeszcze trwa w tym?...”

Z ciekawości wynurzyły się zaraz myśli o tym, jak się ubrać. Sukien i stroików miała bardzo niewiele i ten brak zrodził w tej chwili niechęć i żal do męża.

„Żyję jak zakonnica, a ubieram się jak kucharka — myślała z goryczą. — Mam lat dwadzieścia cztery i pogrzebana jestem w oborze i ogrodzie...”

Nie uczyniłaby jeszcze nic dla zmienienia stanu rzeczy, nie brała nawet na serio niechęci własnej do pana Wiktora; ale ta niechęć istniała w jej myślach i roila się między szeregiem innych, luźnych, tyjących się to Wawelskiego i przygody wczorajszej, to śniadania lub ilości dzisiejszego udoju.

Gdyby niespodziewanie straciła męża, czułaby się zapewne wielce nieszczęśliwą; ale gdy był obecny, zawsze jednaki, dosyć brutalny, wiele a głośno obiecujący bez zamiaru dotrzymania obietnic — nudził ją i męczył. Nigdy go nie kochała bardzo, nawet w epoce narzeczeństwa — toteż teraz myślała o nim z niechęcią i niesmakiem. Przypominały jej się wyraźnie obrazy z niedawnej przeszłości; licytacje, najazdy komorników, defilady Żydów, ta okropna, urągająca wszelkiemu opisowi nędza istnienia — gdy pyszałkowanego panka licytują, lżą, wyrzucają z gniazda — gdy ludzie, którzy dotychczas kłaniali się i milczeli, skaczą do oczu, mszczą się i krzywdzą. Wszystkie te historie odbiły się w jej duszy wiecznym, niezmaszanym znamieniem smutnej, uciskającej bojaźni. Pracowała ciągle w nadziei, że odwróci na przyszłość fatalne następstwa próżniactwa i nierządu, ale pracy tej nie lubiła prawie tak silnie, jak lękała się trwonienia pieniędzy i zbytku. Wszystko na świecie, prócz dziecka i panny Wandy, było dla niej martwe, złowrogie, bez wartości.

Obecnie pierwszy raz w życiu coś się w niej szamotoło. Usiłowała opamiętać się, zmierzyć te nagle odległości, które wytworzyły się w jej pojęciach i uczuciach, zwyczajną miarą codziennego rozsądku i znajdowała co chwila, że się gmatwa i błąka w chaosie nie znanych pożądań. Chaos ten nie sprawiał jej przykrości — owszem, odurzał ją i weselił bezmyślnie jak stare wino.

„O mało się nie zabił dla mnie, dla mnie... dla tej wyrobnicy, zapomnianej przez wszystkich...” — myślała z upojeniem.

Obok niechęci do męża tuż stała wielka wdzięczność dla Wawelskiego, wdzięczność na nic niebaczną, prawie szalona...

Leniwo włócił się jej czas, męczyły ją codzienne zatrudnienia. Około południa, gdy Świerkowski wstał, najadł się przy kawie i nagadawszy do syta wyszedł do miasta, ubrała się staranniej niż zwykle i ruszyła przez ogród do lasu. Gdy minęła furtkę, chwycił ją, ścisnął i ssał wewnątrz strach.

Jakakolwiek przeszkoda byłaby ją zawróciła do domu, najcichszy okrzyk powstrzymał...

Ale pola i łąki milczały, las na zieloną równinę pastwiska rzucał cień szeroki — i ten jego cień a chłód prawie decydował o postanowieniu poruszającej się w spiekocie pani Zofii. Szła z wypiekami na policzkach, bacząc tylko na to, aby jej kto nie widział.

Wawelski siedział dnia tego w lesie od rana. Dostrzegł zbliżającą się i wyczekiwał na skraj lasu. Gdy tylko stanęła pośród drzew, już był przy niej i nie mówiąc ani słowa, patrzył urzekającym spojrzeniem. Nim zdążył wymówić słowo, objął ją i zaczął całować w usta, w oczy, w szyję...

— Co pan, co pan?... — mówiła cicho, drżąc z przerażenia.

Przyszła z zamiarem pomówienia z młodzieńcem, pokokietowania go nieco — a tymczasem od razu ją zdruzgotano moralnie, wyjęto z niej wszelką siłę. Zamiast oporu, zbudziło się poczucie słodczych pocałunków i prawdziwej gwałtowności uczucia. Bóg wie kiedy obmierzły jej pieszczoty mężowskie, oznaczające zazwyczaj znaczną skalę jego podchmienia się, wygasły pragnienia namiętne — toteż całusy Adama ogarnęły ją jak płomień.

Daleko rozlegający się w lesie pisk kraski obudził w niej przytomność umysłu. Wyrwała się z objęć i rzuciła do ucieczki. Wawelski powstrzymywał ją przemocą.

— Kiedy się zobaczymy, kiedy? — nastawał głębokim basem.

— Nigdy...

— Przyjdę dziś wieczorem do furtki ogrodowej... Dobrze?

— Ach, dobrze, dobrze, tylko puścić...

— Na pewno?

— Wszystki mi jedno... na pewno...

Wyrwała ręce i poszła wprost przez łąki.

O godzinie dziewiątej wieczorem Wawelski uzbroidł się w rewolwer oraz głębokie kalosze i, z przestrachem łechcącym mu łydki jak paroksyzm malarii, poszedł na schadzkę. W lesie było tak ciemno, że co chwila tłukł się o pnie drzew lub wlatywał twarzą w gęstwinę kolących gałęzi. Mżył drobny deszcz, cichy deszczyk, podobny do rosy. W lesie nie czuć go było prawie, dopiero między zbożami dawał o sobie znać szelestem prawdziwym, dzwoniącym i niewymownie żalosnym. Po niwkach żyta rozlegała się nieustannie szeroka a głucha melodia uderzeń małych kropel o puste dudki zbożowe, przypominając dźwięk struny skrzypiec, kołyszącej się szybkim, ostatnim ruchem po odjęciu smyczka.

Adaś przezornie wymijał prostą ścieżkę i szedł po miedzach. Kilkakroć zastępowały mu drogę kępy mietlicy, podobne w pomroce do tajemniczego lasu — grzął w sapach na skraj łąki i gniótł niemilosiernie kartofle, owsy, żyto. Pot go oblewał, ogarniał przestrach atawistyczny tej siły, że go zwracał do domu — to znowu mocowało się w nim z tchórzostwem jakby pożądanie niebezpieczeństwa. Zarysowały się wreszcie na ciemnym niebie olszyny. Adaś trafił omackiem na mostek i dzwoniąc zębami puścił się ku furtce po kępach trzęsawiska. Gdy się zbliżył do parkanu ogrodowego, wstąpiło weń zestrzelenie w jedno ognisko mocy nerwowej, podobne do ślepej odwagi. Szedł oślizgłym brzegiem jakiegoś głębokiego rowu. Gałązki żywopłotu, niewidzialne w ciemności, drapały go po twarzy; trzaskały pod nogami suche patyki, sprawiając podczas usiłowań zachowania śmiertelnej ciszy wrażenie wystrzałów armatnich; oplątywały nogi jakieś żyłaste badyle, mocne jak postronki. Dowłókl się wreszcie do upragnionej furtki, obłany zimnym potem, oparł o słupek i czekał.

Deszcz szemrał po liściach drzewek owocowych, w willi migotały światła, na szczycie starej topoli, stojącej w rogu ogrodu, trzepotało się niespokojnie kilka twardych liści, wywołując złudzenie zbliżających się kroków. Wawelski wsłuchiwał się całym jestestwem. Zwodziło go co chwila bicie serca.

— Ktoś idzie... — szeptał przytulając się do krzaków. — Nie... nikt nie idzie, nikt nie idzie...

Znowu ta ciska okrutna, natrętna, przeraźliwa!

Liczył do stu, do dwustu — zdecydował się nawet na odwrót sromotny; gdy zniecka dobiegł do jego uszu szelest oryginalny, wyrrywający się spomiędzy innych. Wsłuchiwał się przez sekundę niewysłowienie przykrą, aż pojął.

— To szelest sukni damskiej... — wyszeptał jak gdyby komuś na ucho.

Po chwili naprzeciwko furtki zamajaczył cień jakiejś głowy.

— Kto to? — zapytała śmiesznie drżącym głosem pani Zofia.

Wawelski poznał jej wylężoną mowę i zaczął prosić szeptem, aby otworzyła.

Wkrótce był w ogrodzie. Szli oboje zacienioną uliczką, nasłuchując i wstrzymując oddechy, ku darniowej ławce pod jabłonką. Pani Zofia okrywała się chustką narzuconą na głowę i co parę kroków chwytała Wawelskiego za rękę, jakby szukała w nim obrony przed niebezpieczeństwem. Deszcz powoli ucichał, siejąc już tylko drobnutki pyłem wodnym; zza kęp olszyny wynurzał się między chmury czerwony księżyc i rozpościerał nad łąkami rudą swoją zorzę. Gdy to spostrzegł Wawelski, ogarnęła go bezmyślna, iście bydłęca wściekłość na to światło przeszkadzające mu jakby na przekór. Posadził panią Zofię na ławce i tulił do siebie.

— Chciałabym panu powiedzieć... ja tylko przyszłam panu powiedzieć... — majaczyła, odrywając jego palce od swych piersi; wypowiadała jednym tchem jakieś tyrady o niegodziwości, o obowiązkach matki, żony; usiłowała wstać, gdy pieszczoty stawały się namacalnie jaskrawymi, ale nie była w stanie opierać się natarczywym naleganiom. Czas uciekał...

Księżyc wypłynął nad drzewa, oświetlił wąskie uliczki, mokre trawy, ubielił rażącym światłem ścianę domu i dach spiczastej wieżyczki...

Gdy Wawelski wymykał się spomiędzy zarośli i lech fasoli, śmiech tryumfu i radości lał mu się z samej głębi serca. Poczucie zwycięstwa zwiększała aureola niebezpieczeństw pokonanych. Odpoczywał w lesie na wilgotnym mchu, patrząc z upojeniem niemieszczącym się w piersiach na głębinę niebios, zasianą już gwiazdami, co zdawały się dotykać koron sosnowych. Szorstka i złowroga piękność lasu, głęboka i nieugięta ciemność miejsc osłoniętych i nasyconych wilgocią, powiększona przez dopełniające bladezielonkowe światło księżycza — rozmarzały go i pieścili. Teraz oto nie tylko jest upojony szczęściem, ale, co stokroć ważniejsze, nie jest Żydem; złożył dowody odwagi męskiej, rycerskiej śmiałości, na jaką nie ważyłby się pierwszy lepszy nawet z tych... sarmatów.

Jeszcze za świetnych czasów wyprawiania rajszych wesel na walnych jarmarkach w Łącznej, Skaryszewie i Jędrzejowie — Świerkowski przyuczył się do „facjendowania”. „Mieniał się” na konie, tarantasy, chomąta, buty, dubeltówki — nawet na krawaty i czapki. Ruina majątkowa zmieniła i wywróciła do góry nogami wszystko w jego pojęciach, wyjąwszy żyłki do facjendowania. Co więcej, chętka handlarska urosła w nim stopniowo do potęgi motoru życiowego. Za gorzkich i bolesnych chwil osiadania na bruku, kiedy odwrócił się do niego plecami jednogatunkowy z nim świat braci szlachty, a otaczać go zaczął falą tratujący nogami, brutalny aż do wydzierania z rąk ostatniej kopiejki — świat nowy, a raczej nowe, pozbawione służalstwa ukazujący oblicze — Świerkowski myślał po nocach i zdecydował się sam wobec siebie, że chcąc chleb jeść na świecie, trzeba pracować. Za resztki ocalone z rozbitcia nabył kilka morgów gruntu i rudę pod Trebizondowem; zbudował natychmiast spiczastą basztę i głosił na wszystkie strony, że zaczyna pracować. Obiecywał sobie i całemu światu rezultaty nadzwyczajne — w gruncie rzeczy jednak pracowała pani Zofia, a on rozmyślał nad nagłym i olśniewającym zrobieniem pieniędzy. Gdy stykać się zaczął z ludźmi nowego świata, odbijały się o jego uszy dalekie, mętne, spardiowane odgłosy mądrych nawoływań: Utrzymujcie w czystości i wykwinności wasze waterkłożety, naprawiajcie dziury w mostkach, handlujcie, handlujcie wszystkim, co jest pod utwierdzeniem, albowiem naucza socjologia, że potrzebne są rodzajowi ludzkiemu grube pieniądze!

Świerkowski pojął, o co rzecz idzie, a nawet napelnił go duch obywatelski; pojął dlatego zwłaszcza, że nigdy nie mógł się dosyć nadziwić sprytowi żydowskiemu i na wszelkie sposoby pracował wyobraźnią, aby ten spryt skutecznie naśladować. — Piorunował na Żydów jawnie, w duszy jednak uwielbiał ich i nie pojmował absolutnie stanu rzeczy pod nieobecność „tych parchów”. Kilkakrotnie udało mu się zarobić pewne, dość zresztą skromne, sumki przy licytacjach lasów. Stawał w charakterze licytanta i brzdził ciągłym podbijaniem ceny kupcom rzeczywistym, wskutek czego ci wciskali mu w łapę kilkanaście rubli i wydalali tym sposobem z koła. Te małe zarobki dodały mu otuchy, materiału do peror publicznych (choć o zarobkach licytacyjnych nie wszystkich znajomych zawiadamiał) i — ducha obywatelskiego. Całe dnie spędzał na obmyślaniu takiej facjendy, takiego interesu, jaki by mu naraz powrócił wszystkie rozkosze przeszłości, wszystkie cu-

gi, liberie, lokajów z podbijanymi oczami i portretową salę z podobiznami przodków, od ojca generała itd. począwszy, a kończąc na samym wojewodzie Goworku.

Skoro dowiedział się, że młody Wawelski ma znaczne kapitały, zaraz oświeciła mu umysł niby jasność niebieska. Mechesa przywabi, olśni szlachectwem i ożeni z panną Wandą, a później będzie od niego wyciągał pieniądze na kapitał zakładowy najrozmaitszych przedsiębiorstw. — Gdy to się nie udało, wykombinował jeszcze świetniejszy handel: obalamuci młodzieńca i sprzeda mu willę wraz z gruntem po trzysta rubli za morgę. Tym sposobem osiągnie pewien kapitalik, spłaci długi ciężące na folwarku i wytarguje na nowonabywcy całoroczne bezpłatne mieszkanie — w zamian za administrowanie gruntem i gospodarstwem przez zimę, w zamian za remont domu i budynków, z czego przecież także coś — he, he, he — kapnie. Kapitalik obróci na założenie w Trebizondowie sklepu „chrześcijańskiego”; zaraz po założeniu zorganizuje bandę akcjonariuszów z inteligencji miejscowej i przefacjenduje jej i sklep; na pewien czas przyjmie w nim obowiązki subiekta, a niezależnie od tych zajęć będzie się starał o otrzymanie posady agenta od ubezpieczeń w towarzystwie „Jakor”; znowu nieszczęsnego Wawelskiego namówi do założenia domu komisowo-handlowego w mieście gubernialnym; będzie kupował i parcelował folwarki — zbije niezmierny kapitał, aby wciąż później handlować folwarkami, wsiami, dobrami, kluczami...

Owe kolosalne operacje późniejsze Świerkowski widział jak na dłoni; nie pojmował tylko tego, jakim sposobem namówić młodego kapitalistę do kupna willi, czym go podniecić i zahaczyć.

Swoją drogą już od pewnego czasu trąbił zgromadzającym się na dworcu optymatom, że młody prawnik nabywa jego willę. Wsadzał podczas wypowiedzania tej wieści z wielką niedbałością ręce w kieszenie od rajtuzów i patrzył w przestwór w taki sposób, że najsceptyczniejsi z biesiadników myśleli: „Bierze, bestia, najmniej po dwieście rubli za morgę, jak się patrzy...”

Z zamiaru sprzedania willi zwierzył się przede wszystkim żonie, licząc na jej pomoc w „kaptowaniu” i faktycznie obarczając ją obowiązkiem przeprowadzenia handlu. Sam działał, z daleka zachodząc: posyłał Wawelskiemu dzień w dzień konia wierzchowego, obwoził go bryczką po okolicy, załatwiał sprawunki mamy dobrodziejki, zapraszał obydwójce i podejmował z gościnnością staropolską, oprowadzał młodego człowieka po sypach, zmuszał do podziwiania lichych owsów i porażonych kartofli, dobrze temu znanych z wycieczek nocnych, do oglądania tych miejsc na skoszonej łące, gdzie jakoby, pod słowem honoru, zasiano lisi ogon, koniczyny i tymotejki.

Pani Zofia przejęła się również myślą sprzedania willi. Pomimo że została uległą kochanką Wawelskiego, nie zaniedbywała jednak, odruchowo niejako, obowiązków dobrej, dbającej, zapobiegliwej żony. Projekt uśmiechał jej się przede wszystkim z tego względu, że dawał możliwość jawnego widywania się z ukochanym — a po wtóre, że, jak się pocieszała, skuteczne załatwienie interesu złagodzi na pewno jej wyrzuty sumienia i wynagrodzi krzywdę moralną wyrządzoną łatwowiernemu wąsalowi. Pod wpływem nauk Wawelskiego religijny odcień wyrzutów i skrupułów pani Zofii złagodzony został aż do zupełnej nieczułości przez kilka dobitnych zdań Holbacha i Chamforta; czasami jednak przenikało ją na wskroś poczucie hańby innej natury: fakt złamania prostego, niepisanego słowa honoru, oszukanie ufności tego gaduły, z którym nagle, pomimo jej woli, samowiedzy i zamiaru, coś ją rozdzieliło i rozłączyło moralnie. Była to litość złodzieja, który czuje, że zabrał okradzionemu jedyną i ostatnią jego własność i pociechę. Miała przy tym w usposobieniu instynktowny wstręt do oszukaństwa i tym przymiotem górowała moralnie nad Świerkowskim, trzymała go w ryzie porządku; obecnie pojmowała to, że nie tylko oszukała jego wiarę w swoją uczciwość, ale sama, podczas gdy on jej ufał i wierzył, w każdej chwili krzywoprzysięgała ruchami, dwuznacznymi spojrzzeniami i słowami.

Te niewidzialne moce, które opętały jej duszę i popychały do schadzek, kłamstw i pieszczot, czasami na mgnienie oka ją opuszczały. Wówczas kasała jej serce ślepa, bezmyślna, podobna do obłądu zgryzota. Ale chwile tych niespodziewanych jasnowidzeń zdarzały się rzadko i nikły zaraz pod naciskiem rozkosznej tęsknoty ciała i nadmiaru wiecznie nowych wrażeń miłosnych. Kochała Wawelskiego jak wierne zwierzę, ze ślepy i głuchy na wszystko uwielbieniem, nieprzerwaną tęsknotą, która nie opuszczała

jej nawet wtedy, gdy on był obecny. Mocą tajemniczej zdolności zgadywała jego dążenia i przywary; usiłowała zaspokoić wszystkie porywy jego imaginacji, rozumieć go i zawsze mu służyć. Dla Wawelskiego oszukiwanie szlachcica, zamydlenie mu oczu, wyprowadzenie w pole — stanowiło największy przysmak miłości, rozkosz szczytną, subtelną i doskonałą. Wiele godzin strawił na to, aby w pani Zofii wyrobić zamiłowanie i rozkosz w zdradzaniu; twierdził, że to będzie prawdziwym dowodem jej miłości; rozdmuchiwał w jej duszy nienawiść, uczył dwulicowości i fałszu. Zgadzała się na wszystko i starała wypełniać rozkazy, jak mogła najdokładniej.

Podczas jednej z wizyt popołudniowych Wawelskiego pan Wiktor postanowił osobiście wykonać zamach stanu. Wszyscy troje znajdowali się na werandzie. Szlachcic chodził od końca jej do końca z rękami w tył założonymi i już to poświstywał jakąś melodyjkę pod wąsem, już narzekał na czasy, stagnację, upadek cen ziemi i tym podobne nieprzyjemności. Pani Wiktorowa wsunęła się w kąt werandy, oparła głowę o poplątane łodygi dzikiego wina i gdy Świerkowski zwracał się w swym spacerze ku niej, poważnie i z uwagą patrzyła mu w oczy — gdy się odwracał, wolno, nadzwyczaj wolno podnosiła powieki, aby z wyrazem niewysłowionej rozkoszy przyglądać się siedzącemu w pobliżu Adasiowi. Oczy jej miały wówczas kolor podobny do barwy mgły porannej, ocienionej nikłym błękitem wschodu; wejrzenie ich drażniło opuszczone powieki kochanka, jak coś ciężkiego i słodkiego, a skoro tylko spoglądał na nią, to te zamglone, rozmarzone, zakochane oczy zasłaniały się długimi rzęsami, jakby dla okrycia niewstydu i nagości ich wyrazu.

— Proszę pana — mówił niby od niechcienia Świerkowski — co też pan zamierza ze sobą robić po skończeniu kursów? Adwokaturę traktować?...

— Tak... prawdopodobnie... — wycedził Adaś.

— Zawszeć będzie pan zaszczycał Trebizondów swymi letnimi odwiedzinami... co?... spodziewam się...

Pani Zofia spojrzała na młodego człowieka; usta jej zacisnęły się i pobladły.

— O, niewątpliwie! Przyjedziemy w roku przyszłym zaraz na początku maja.

— Phi, proszę pana, na początku maja... zapewne... Tylko że to mieszkania nie uporządkowane jeszcze, zabrudzone, nie opalone, wilgotne. Gdyby tak...

— Ha, cóż począć?

— Począć by można, i jak jeszcze... Mój Boże, kto jak kto, ale państwo moglibyście się urządzać w taki sposób, że po prostu...

Coś go jakby zadławiło; przybladł trochę, zakaszłał.

— Co po prostu? — zapytał ciekawie Wawelski.

— Po prostu kupić tutaj willę i cała parada! Choćby ot moją willę kupić wraz z gruntem... Przy obecnie niskiej cenie ziemi to złote jabłko... po trzysta rubli za morgę sprzedałbym — wyrecytował szlachcic od razu; potem odwrócił się nieznacznie, wyjrzał przechyliwszy się przez balustradę na ogród i szeptał cichutko do siebie, niby dalszy ciąg tej operacji: — Święta Mario, matko Boża, módl się za nami...

Adaś spojrział ostro w stronę Świerkowskiego, ale zobaczył tylko jego szerokie plecy; spuścił tedy oczy, medytował przez chwilę, a potem badawczo, uważnie przyglądać się zaczął pani Świerkowskiej z takim wyrazem, jakiego ta nigdy jeszcze nie widziała w jego twarzy.

— Mąż pani chce mi sprzedać swe grunta po trzysta rubli za morgę... to wypada po dziewięć tysięcy za włókę... Czy pani również życzy sobie, abym tę willę nabył? — zapytał, patrząc jej prosto w oczy.

— Ja?... Cóż ja? I owszem... Tylko mi się zdaje, że to za drogo; może pan nie może... — tłumaczyła się, błagając go oczami.

— Owszem... ja mogę, mogę, osobliwie, jeśli... państwo oboje tego sobie życzyacie. Pan zapłacił za ten grunt po siedemdziesiąt pięć rubli? prawda? — zwrócił się do Świerkowskiego wyniośle, tonem bogatego człowieka.

— Po siedemdziesiąt pięć rubli? Ależ panie! — zaperzył się pan Wiktor — a kultura, panie, kultura, do jakiej doprowadziłem; toć to inspektowa ziemia, a rowy, a irygacje łąk...

— Gdzież to są te irygacje? — przerwał mu Adaś.

— Zapytaj się pan Wicka Głaza, Antka Zycha, Piotra Gajkosia, jeśli mi pan na słowo nie wierzysz... Śluzę mi, prawda, powódz zabrała...

— A, powódz zabrała śluzę... — mówił poważnie Wawelski.

— Zresztą ja pana, broń Panie Boże, nie chcę namawiać. To jest świetny punkt dla człowieka, co chce zrobić majątek. Ja nie mogę robić wielkich nakładów, ale pan... Willę wybudować nową, park założyć, same warzywa, panie... Ja sam za małe pieniądze mógłbym panu tutaj cudne gniazdko urządzić.

— Nawet gniazdko? — zaśmiał się Adaś i z utajonym bólem spojrzął przelotnie na panią Zofię.

Ona czuła, że ją o coś złego posądza. W tonie i w sposobie jego mowy było coś, co ją obrażało i gniewało. Nie mogąc w naiwności swej zrozumieć, o co mu właściwie idzie, wtrącała ciągle swe uwagi nieśmiało:

— Wiktorcu, może za drogo... po dwieście rubli... może pan Adam nie może.

— O, nie... czyż to drogo? — zaśmiał się jadowicie. — Pomyślę, proszę pani, pomyślę, czy to rzeczywiście będzie dobry interes...

Skierował rozmowę na inny przedmiot, posiedział jeszcze chwilkę i pożegnawszy oziębłe wrzuszonych małżonków wyszedł.

Zaraz za bramą zaśmiał się gorzko.

— Ładny anioł, ładne małżeństwo... a ja głupi, ja głupi!... Niewinne, cudownie zawstydzone oczy... Teraz rozumiem i zaprosiny, i zostawianie nas samych, i szybką zgodę na schadzki... Panie Świerkowski, chcesz być sprytniejszym nawet od Żyda... za drogo jednak cenisz tę swoją... ziemię. Gniazdko mi uściele... cha-cha... Społeczeństwo facetek i facetów!...

Szybko upłynęła pierwsza połowa września, minął ostatni dzień pobytu Wawelskiego na wsi i chwila wyjazdu nadeszła niepostrzeżenie. Dniało zaledwie, kiedy Adaś przyszedł pożegnać Świerkowskich. Wysłał służącą, aby zawiadomiła panią Zofię, że przybył; powrócił na balkon i żegnał oczyma okolicę wynurzającą się z mgły porannej. Liście pięknego klonu stojącego w pobliżu balkonu pozysychały się już i pomarszczyły, przybierając kształt pięści pozaciskanych kurczowo; dzikie wino obwisło brunatnymi strzępami; płonęły purpurą jak ogniska kępy sumaków i rabaty nasturcji; na pola i łąki padła barwa oddalająca, błękitnawoszara. Wśród ról świeżo popokładanych, po których czołgały się od rannego zierzchu brony i pługi, podobne z oddalenia wraz z ludźmi i końmi do dużych szarych pajaków błędzących bez celu, ciskała się w oczy wyłączna, zimna, czystozielona barwa lasu.

W ciągu ostatnich tygodni Wawelski doświadczył przesytu uciech i pragnął już niejednokrotnie wyrwać się z zaczarowanego koła, pragnął tym goręcej, im natarczywsiemi stawały się zabiegi Świerkowskiego w celu sprzedania willi. Teraz, w chwili wyjazdu, mdlił go ckliwy żal. Pola, ścieżki, drzewa ogrodu i ten stary dom przypomniały mu się jak znajome istoty, jakby wzgardzeni sprzymierzeńcy — zdawały się mieć duszę i nazwę kobiety o smutnych, błękitnych oczach. Niemiłe uczucie olśniewało co chwila jak błyskawica jego praktyczny samohód, jego subtelne, cienkie, do rdzenia rzeczy docierające myśli, ale też trwało tak właśnie długo, jak w cieniach nocy trwa światło błyskawicy.

We drzwiach prowadzących na balkon ukazała się pani Zofia. Była bledziutka jak papier, miała głowę odchyłoną w tył i uśmiech serdeczny na ustach.

— Czy nie może pan zostać jeszcze... dzień, pół dnia?...

— Żadną miarą. Sama pani wie...

— Tak, tak. Wierzy pan przynajmniej, że byłeś pierwszym i ostatnim?

— Czym?

— Alboż ja wiem?... Zmorą...

— Kochankiem!...

Nie miał nigdy zamiaru rozwiedzenia i poślubienia pani Zofii, a jednak do pasji doprowadziła go rola tylko kochanka, chwilowego kochanka. Bezmyślny uśmiech, nie ustępujący z warg tej kobiety, dokuczał mu jak wyrzut i skarga.

„Nie — myślał — dosyć już tej zabawy w Syngaleza, wkrótce wyglądałbym w tych okolicach jak kolega Daktylberg”.

Właśnie w tej chwili, gdy tak myślał, pani Zofia spojrzała mu w oczy z bojaźliwą ciekawością. Niegdyś, za lat dzieciństwa, widział takie wejrzenie, niewysłowienie ciekawe, gdy stróż domu jego rodziców topił w strudze sparszywiałe ze starości psisko podwórzowe, a on asystował przy tej operacji. Widać patrzyła bystro, bo niespodziewanie odwróciła się i weszła do domu. Gdzieś, za trzecimi drzwiami, słychać było bohaterskie chrząkanie i plucie, na odległość czterech sążni, pana Świerkowskiego. Wawelski poczuł, że znowu jest w chaosie przeciwieństw, wspomnień, pożądań i wstrętów — w tej pustyni miłości nieprawej, gdzie ani robak nie umiera, ani ogień nie gaśnie. W sieni zatrzeszczała podłoga i przecisnął się przez drzwi wielki szlachcic.

Podając mu rękę, Wawelski objął wzrokiem pogardy i wstrętu ten tęgi kadłub, składający się z trzech części, a raczej z trzech bezułek osłoniętych trzema kawałkami popielatego kortu.

„To ma być dopiero Syngalez — myślał — i jak to w nim te bezułki spojone są mutrami *na fest!* Gdyby tak środkową naderznąć kozikiem i pod nacięcie szaflik podstawić, toż by nakapało sadła!... Co za doskonały i piękny brzuch! Wyobrażam sobie, no! no! wyobrażam sobie...”

Okrutna, ślepa i bezrozumna mściwość znowu jak za pierwszych dni tego romansu kęsać go zaczęła.

Była sekunda taka, że popchnięty ciosami bólu omal nie rzucił się do ogrodu, aby z oddalenia wrzasnąć na całe gardło: — Uwiodłem ci żonę, idioto! Była moją kochanką! Tłucz łbem o ściany, szalej, rozpaczaj, nie zaznaj chwili spokoju i bądź przeklęty w tym nieszczęściu!

Ale pięście szlachcica, jego palce podobne do trybów palczastego koła we młynie, działały na niego uspokajająco. Stał w eleganckiej pozie, zginając w rękę giętką laseczkę.

— Co za szkoda, że oto i pana nam zabraknie — mówił tymczasem Świerkowski. — A żeby też tak jeszcze z jaki tydzień, co?... panie Adamie! Kopnęlibyśmy się konno albo nie, to na upatrzonego zapolowali po kartoflach... Sama pora: zając teraz, mówię panu, jak byk...

— Nie mogę... Jadę dzisiaj, muszę nawet iść niezwłocznie; pociąg odejdzie.

— Nie odejdzie; pociąg nie zając... Kazałem konie zaprząć i odwiozę pana... Trafimy na czas. Teraz warto herbaty złopnąć na stojączkę i dopiero...

Ujął Adama pod rękę i wprowadził do stołowego pokoju, gdzie pani Zofia nalewała już herbatę.

Twarz miała jakby zamrożoną, koloru ziemi, pokrytą ceglastymi plamami. Ręce jej się trzęsły, na zmarszczone czoło spadały włosy kosmykami, jakby je przed chwilą garścią targała.

Świerkowski pił herbatę stojąc i opowiadając historie; szukał po kieszeniach, w szufladach stołu i szafy kredensowej jakiegoś listu z zaproszeniem na polowanie, a nie znalazłszy go między serwetami wyszedł na poszukiwanie do sąsiedniego pokoju.

— Co ja teraz pocznę? Jak tu teraz być, jak żyć, jak tu żyć...! — szeptała pani Zofia, jakby do siebie. Wyciągnęła rękę, ale nim dotknęła ręki kochanka, wszedł Świerkowski z listem. Rzucił przelotnie okiem na twarze obojga i na jego szerokim, spokojnym, tryskającym zadowoleniem obliczu odmalowało się raptownie tępe i śmieszne zdumienie, jakaś bezradna struchłałość i bojaźń.

— Jedziemy, panie Świerkowski? — zapytał Wawelski, spoglądając na zegarek — czas już wielki.

— Możemy; ano... tak, czas już wielki... — powtarzał szlachcic, kręcąc w palcach ów list pochlebny.

Niepewnymi ruchami podszedł do pani Zofii, objął ją wpół i pocałował dwa razy mocno, z mlaskaniem, co się zowie „z dubeltówki”, i wnet odzyskał dobry humor i pewność siebie. Wawelski stał z boku i przypatrywał się tej scenie spod oka. Te dwa pocałunki zabolowały go jak smaganie batem. Mówił w duchu do pani Zofii:

„Ja nie mam prawa przycisnąć cię do serca i oto w tej chwili muszę patrzeć, jak cię całuje ten cham. Dobrze mamy urządzony świat! Porządną jesteś kobietą...”

Ona nie podniosła oczu, gdy podszedł i uściśnął jej rękę na pożegnanie. Wychodząc na ganek, Świerkowski oglądał się raz za razem na żonę i Wawelskiego, postępujących tuż za nim; rzucał spod oka zabawnie podstępne wejrzenie i kombinował z malującym się na twarzy napięciem umysłu. Wawelski pierwszy wskoczył na bryczkę, a gdy na jej stopniu zaciężyła noga szlachcica, obejrzał się ukradkiem. Pani Zofia cofała się do drzwi; nie podniosła spuszczonej powiek, gdy konie ruszyły i okrążyły gazon — potem usiadła na ławce i pochyliła głowę na piersi.

Bryczka wtoczyła się na gościniec i pomknęła po wybojach. Wawelski, wyczuwając badawczy i niespokojny wzrok węża, dawał niejaką satysfakcję swemu cierpieniu, trzymając go zimnym spokojem i udanym uśmiechem zadowolenia w błędzie i niepewności do ostatka.

Na stacji zastał już Wawelski matkę, przyczepił do niej szlachcica, a sam wmieszał się w tłum osób.

Ostry, nasycony sadzą dym węgla drażnił go, dusił i roztkliwiał. Głos świstawek i dzwonek przeszywał go na wskroś, jakby był głosem istot nieznanych, wrogich a świadomych jego myśli aż do ostatka. Ściany budynków, wagony i gromadki obcych ludzi odpychały go z jakąś siłą sprężystą. Było mu źle i duszno. Tlum potrącał go, zabierał ze sobą, cofał i znowu ciągnął — zupełnie jak pożądania, bezmyślne postanowienia i obawy, władające jego umysłem. Nareszcie Świerkowski wyprowadził pontyfikalnie panią Wawelską, usadowił w wygodnym przedziale, polecił opiece konduktorów i przechadzać się zaczął kolo drzwiczek wagonu z miną zarazem przebiegłego dyplomaty i wiernego kondotiera. Należało wsiąść do wagonu. W tej chwili Adam poczuł do Świerkowskiego pewien rodzaj sympatii; miał chęć uściśnąć go i patrzył na niego życzliwie, jak na ostatnie przypomnienie, na ostatnią rzecz bliską pani Zofii.

Na schyłku dnia błądził po ulicach Warszawy, szukając na próżno tego miejsca, „co jest na smutek łaskawe”. Bez przerwy widział oczy pani Zofii, słyszał jej głos, dotykał ręk, całował usta i długie, miękkie, jedwabne, nieskończone pasma włosów. Gdy wymijali go młodzi ludzie rozmawiający wesoło, szedł za nimi i nasłuchiwał, czy nie mówią o niej; zdawało mu się, że wszyscy nieznajomi przechodnie patrzą na niego z udanym współczuciem i szepcą jeden drugiemu do ucha coś złego o nim i o ukochanej nad życie.

O zmroku zabrnął na plac Teatralny i pospołu z tłumem wszedł do przedsiönka teatralnego. Nie namyślając się i nie spojrzawszy nawet na afisz, kupił bilet do amfiteatru i znowu wyruszył na bezcelową włóczęgę po mieście. Przyszedł dopiero na trzeci akt opery. Śpiewano *Manon* Meilhaca i Gille'a. Gdy wszedł, właśnie kawaler de Grioux śpiewał: „Ach, opuść mię...” Niezglębione fale żalosnej pieśni porwały duszę Adama. Wszystko, co go dręczyło, wypowiadał, wylizcał, nazywał po imieniu ten śpiew wlatujący w nieskończoność, wyjawiał natarczywą chęć wyrwania ze siebie — nie miłości, ale tego bólu, jaki ona sprawia — a gdy z wysokości zlatywał jak ptak z przestrzelonymi piersiami i cisnął się nań i na ciche łkanie arfy huragan skrzypiec, zdawało się Adamowi, że słyszy płacz pani Zofii. Oplakuje ona dolę swą nędzną, opuszczoną i gorzkie przecucie, że szczęście już nie wróci; nie skarży się, nie rozpacza, nie przeklina — tylko płacze; nie złorzeczy sobie ani jemu i nie potępia tej miłości jednej, pierwszej i ostatniej — tylko w męczarni kopie dla niej grób w sercu swoim; żali się płaczem ceniom lasu, kwiatom uwiedłym i zeschlłym trawom, miejscom samotnym a pełnym żalu, kolebce jej miłości...

Dalszy wątek tej elegii przerwała Adamowi pewna uboczna okoliczność: z jednej z łóż pierwszego piętra ktoś obserwował go uparcie, nie odrywając od oczu lornetki.

Po chwili pilnego wpatrywania się w ową lożę młodzieniec nasz poznał w damie przyglądającej mu się tak ciekawie pannę Wandę.

„A ta skąd się tu wzięła?” — pomyślał w pierwszej chwili z gniewem, następnie z ciekawością. Doznał takiego wrażenia, jakiego doznaje człowiek, czasami jadający obiady, gdy po kilkodziowym poście przymusowym znajdzie przypadkowo za podszewką własnej kamizelki skromnego rubelka. Między nim a tą piękną i śmiałą dziewczyną istniała jakby przepaść, jakaś ciemna i ohydna próżnia; ale para tych oczu, para, do jakiej trudno by było dobrać podobną na całej kuli ziemskiej, rzucała nad otchłanią złoty most. Czuł zresztą, że musi użyć jakiegoś środka, aby zobojętnieć na nieustanne, niespokojne odruchy nieznaney władzy wewnętrznej, na ciągłe uświadamianie się, że pani Zofii już nie ma — że

niepodobna ulegać tak ciąglej, jakiejś niezależnej od niego sile — że trzeba wyprostować się, otrzeźwić i uleczyć z tej gorączki.

Późno w nocy kończył długi i rzewny list do pani Świerkowskiej słowami Romea:

„Moja miłość równie jest niezgłębia jak morze — równie jak ono bez końca; im więcej ci jej daję, tym więcej jej czuję w sercu...”

Kończył się jeden z ostatnich dni grudnia. W zakłęsłych podwórzach, wąskich ulicach i ciasnych ogrodach Warszawy stała już ciemność nocna, nie poprzedzona przez mrok, zjawiająca się tak prawie szybko jak w dolinach górskich o zachodzie słońca. Mżył śnieg z deszczem. Okna pokoju Wawelskiego wychodziły na ogród, otoczony wysokim murem. Obdarte z liści, stare i ponure w swej starości drzewa glucho jęczały; tuż za oknem kołysały się szare kolczaste badyle i byliny wysmukłych kwiatów, z których zieleni uciekła aż w głąb korzeni, aby tam śnić nieskończenie o słońcu, o wiośnie, o świetlistych porankach i ciepłych wieczorach. Basen fontanny zasypiano stosem szerniałych liści — resztę ich rozrzuconą po zgnilej murawie wdeptały w błoto buty stróża i nogi romansujących w tych okolicach wyżłów. Obok, na poręczach balkonu opartych o dzbanuszkowate słupki stały dwie drewniane wazy, czarne i pełne w tej chwili brudnej, gnijącej wody; pozbawione krzewów, kwiatów, zapachów i barw, odrapane przez deszcz z farby naśladowującej kolor marmuru, sprawiały teraz, w tym jakby pomyjami zalany zakątku, efekt cudaczny — a smutny, niby mowa mistyczna skierowana do bandy złodzieiów.

Wawelski siedział przed wesołym ogniem, płonącym na kominku. W pokoju było już ciemno, tylko na suficie i jednej ze ścian drgały odbłaski języków ognia, te ruchliwe kliniki, co zdają się wpadać w głęboki cień, przekłuwać go podstępnie i łamać się w mgnieniu oka jak strzaskane szpady. Leniwe, zmysłowe marzenia oblegały umysł młodzieńca, roily się w jego mózgu szybko jak te biegające światelka. Myślał o pannie Wandzie i całym szeregu spotkań z nią i rozmów, o wszystkich jej kapryсах, sztukach i sposobach dziewiczych, za pomocą których po prostu podlechtywała jego pożądanja.

Ileż to razy oczekiwał na nią w rozmaitych punktach miasta, a zawsze w tłumie osób na ślizgawce, na wystawie sztuk pięknych, w ogrodzie botanicznym, w kościele... Jakież ona ma cudne nóżki, jak je umie pokazywać, odsłaniając aż do kolan podczas przypinania łyżew; jak bezczelnie opierała się o niego piersiami, gdy stali przed płótnem p. Żmurki, wyobrażającym nagą piękność (z ciałem malowanym ślinami i mydełkiem glicerynowym czy czymś w tym guście); jak umiejętnie całuje w usta i jak otwarcie odpowiada na dwuznaczniki i propozycje, ledwo-ledwo osłonięte dowcipem: po ślubie, chłopczyku, po ślubie... Dla niej warto by kupić nawet willę Świerkowskiego. Ba! Gdyby to ją można kupić za pieniądze...

Dla zabicia czasu zaczął przeglądać listy pani Zofii. Otrzymał ich blisko już czterdzieści, pisanych niezgrabnym, pochyłym charakterem na dużych arkuszach szorstkiego papieru. Wypisywała w nich zwierzenia ze wszystkich zatrudnień gospodarskich i kłopotów domowych, z wyrzutów sumienia i zmysłowych pragnień, przerośniętych najczulszymi nerwami miłości. Po powrocie ze wsi Adam pisywał do niej niemal codziennie, obsypywał ją pochwałami i przysięgami, skarżył się na brak jej uczuć i na swą tęsknotę, malował swą rozpacz i żal nieutulony. Listy te, początkowo szczerze i naturalne, z czasem pełne tych samych pięknych wyrazów, choć z nich od dawna „woń miłości uleciała”, widocznie odurzały panią Zofię i znieprawiały ją do ostatka. Jakież biedne refleksje, tułające się między wierszami pierwszych jej odpowiedzi, przerodziły się z biegiem czasu w pomysły nierozsądne i zamiary nieokreślone.

„Jak się Wiktor o wszystkim dowie — pisała w jednym z ostatnich listów — to zabiorę dziecko i choćby piechotą pójdę do pana, będę panu u nóg leżała, będę pańską służką, pomywaczką, czym pan każe. Mnie męczy, dusi, zarzyna to ciągle udawanie, a miłości dla pana nie mogę pozbyć się w żaden sposób, staram się takową przytłumić, chodzę do spowiedzi, pracuję po całych dniach, ale takowa toczy mi duszę jak skir, wisi nade mną, chodzi za mną, jest wszędzie. Czekam co dzień na Judkę, który mi przynosi listy od pana, i gdy go zobaczę na drodze zdążającego do naszego domu niby to po masło, niby to po

mleko, za interesem do mnie, a właściwie z moim najdroższym *poste restante*, wpadam w taką radość, tak płacę, tak płacę ze szczęścia...”

Wawelskiego znudziły już dosyć dawno rubaszne sentymenty, papier i ortografia tej kobiety; odpisywał coraz rzadziej ostatnimi czasy, a nie zrywał korespondencji zupełnie dlatego, że miał zamiar skorzystać z uczuć pani Zofii we właściwym letnim sezonie. Przywykł zresztą budzić się rano na odgłos dzwonka i sapania listonosza, wręczającego mu wielką, kancelaryjną kopertę wielbię.

Przejrzawszy sporą część paczki przerwał czytanie i znowu pogrążył się w zadumę. Wtem mocno dźwięknął w przedpokoju dzwonek i po chwili wszedł ociekający wodą posłaniec z listem. Adam rozerwał kopertę i odczytał wezwanie panny Wandy, skreślone na kawałeczku papieru:

„Proszę przyjść niezwłocznie na ulicę Browarną nr 50 do mieszkania panny Anieli Bezmiańskiej... Oczekuję pana — Wanda.”

Pobiegł bez namysłu. Rzadkie, kleiste błoto przyskało spod jego kaloszy, gdy zlatywał po pochyłości ulicy Karowej i szukał w czeluściach Browarnej wskazanego numeru. Odpoczął dopiero przed drzwiami mieszkania panny Bezmiańskiej — gdy już zza jakiegoś niewidzialnego po ciemku przepierzenia słychać było śmiech panny Wandy. Uchylił pierwsze z brzegu drzwi i znalazł się w pokoiku idealnie małym, nie większym nad wnętrze porządnej szafy kredensowej. Skromna lampa oświetlała to gniazdo jak wielkie ognisko: było zupełnie widno, aż za widno... Tak, nie mylił go wzrok: na wąskiej wyplatanej kanapce siedziała pani Zofia, obok niej panna Wanda i jeszcze jakaś dama, a właściwie siedział niezmiernie duży nos i przyczepione do niego niesymetrycznie płaskie, nikłe kształty damy.

Od chwili wkroczenia do pokoju Adam czuł na sobie zimny, surowy, ostry wzrok chudej istoty. Zdawało mu się, że te małe oczka spostrzegają nie tylko jego stosunek do pani Zofii i odgadują zamiary względem panny Wandy, ale że widzą nawet kolor jego szelek i proces trawienia pokarmów w żołądku. Zmieszał się bezprzykładnie. Jak człowiek pijany kłaniał się, gdy go przedstawiano panie Anieli Bezmiańskiej, tak nisko, że ta mogła po dwakroć oglądać guziki, przyszyte nad tylnymi kieszeniami jego tużurka. Zaledwie ochłonął z pierwszego wrażenia i otrząsnął się ze stanu starcia inteligencji na proszek do zębów — opanował go gniew.

„Po co tu przyszedłem? Czy warto było pędzić po błocie nic więcej tylko na ulicę Browarną po to, aby się przekonać, że przyroda, tworząc pannę Anielę Bezmiańską, wyekspensowała na budowę jej piersi, ramion, policzków, brody i tym podobnych efektów jakieś dwa ruble, podczas kiedy budowa samego nosa stanowi wartość listu zastawnego? Po co przyjechała ta pani Zofia? Nikogo nie zaciekawiają jej pokłute, pomarszczone, grube ręce, jakby świeżo wydobyte z beczki kiszzonej kapusty... Czego chce, co w tym jest? A ta zwodnica uśmiecha się i kontenta jak goły w pokrzywach. Po co mię tu wzywała, czego chcesz ode mnie?” — mówiły do panny Wandy jego zle w tej chwili oczy.

Pani Świerkowska patrzyła na Adasia po swojemu, spod rzęs, i co chwila płonila się, jakby ją obnażoną prowadzono przez ulice Trebizondowa. Rozmowę zagaiła niezwłocznie panna Bezmiańska i mówiła już bez przerwy aż do wygadania, jak to mówią, dziury w łonie słuchacza. Uświadomiła swego gościa od niechcienia, że jest kuzynką pana Świerkowskiego, że ojciec jej miał gdzieś jakieś Przebrzmiałowice, bynajmniej nie mniejsze od jakichkolwiek innych Przebrzmiałowic; oświadczyła, że kiedy dobra po śmierci rodzica... fiu! — ona, panna wysokiego rodu, została bez grosza, znalazła się w Warszawie i ocknęła pewnego pięknego poranku w takiej nędzy, jakiej nie życzy żadnemu swemu wrogowi, żadnemu z panów stworzenia. Robiła w przeróżnych ideach, chwilowo postępowych: w katolicko-arystokratycznych trzewikach, motylach i baletnicach na lampy, w gilzach, w nadrabianych pończochach, w kapsułkach na olej rycynowy; była w fabryce krawatów i ubierania lalek; a koniec końców jest kasjerką w sklepie spożywczym. Dużo czasu zajęła opowieść o wszystkich zajściach z pracodawcami, o kłótniach i wypędzeniach, powrotach i porzuceniach nastęrczającego się fachu.

— Obrońcą moim — mówiła — był ten oto nos. On ode mnie odstraszał kłamstwo i podłość mężczyzn; idę z nim przez życie jak z pałaszem, pewna, że jeżeli kiedy umrę z głodu, to przynajmniej nie zawinię wobec siebie i mojego rodzaju głupotą i ślamazamo-

ścią; dzięki jemu widzę niektóre rzeczy jasno, cha, cha, cha... jak ja niektóre rzeczy jasno widzę!... Życie moje wypełniła po brzegi praca, taka nieraz, że krew z za paznokci tryskała; toteż ja niektórych rzeczy nie cierpię, brzydzę się, pogardzam, pluję... pfu!... Gdybym ja była prawodawcą, biłabym niektóre osoby batem, biłabym, biłabym! Karałabym niektóre występki według przepisów prawa magdeburskiego; ja i prawa magdeburskiego po łebkach liźnęłam — syknęła w kierunku Adama. — Tak! — wołała, uderzając z całej siły w stół chudym palcem — niektóre występki powinny być strasznie karane; na przykład: niewierna żona powinna być „u pręgierza bita”, a gaszek — wybuchnęła — powinien być „mieczem karan”.

— Egzagerujesz... — wtrąciła słodko panna Wanda. — A miłość... cóż byś zrobiła z miłością?

— Miłość... — skrzywiła się obrzydliwie stara walkiria. — I ja przecież jestem owocem miłości... miłości — powtórzyła z przyciskiem, stulając wargi i umyślnie szepleniąc. — Całe męczeństwo istnienia, ta głupia walka, borykanie się na śmierć i życie dla zdobycia suchych bułek i szklanki wstrętnej herbaty — jest owocem miłości. Ja wiem, co mówię. Trzeba owoce nieprawej miłości, małe dziateczki, drobnostki przeszkadzające gruchać przy księżycu, widzieć na wychowaniu u pewnych dam, aby zrozumieć, czym jest miłość i co z nią trzeba robić. Może pofatygujesz się, piękna Wandeczko, do mnie w niedzielę: przejdziemy się po niektórych podwórzach skromnych i nieco nieschludnych domków Warszawy, wówczas zobaczysz...

Zaczęła ruszać wargami, jakby miała zamiar ukąsić Wawelskiego. Ten czyhał już od dawna na taką szczęśliwą chwilę, kiedy można będzie wyrwać się z tego odmętu gadania starej pesymistki. Tymczasem na odgłos skwierczenia maszynki naftowej panna Aniela zaczęła nakrywać stolik czymś w rodzaju wyżółklej pieluszki, ustawiać szklanki i talerze z bułkami. Kiedy krzątała się między stołem i łóżkiem, ukazała się dopiero cała jej chudość i brzydota. Robiła ona na Wawelskim wrażenie nie dojezionej potrawy, wrażenie czegoś zgrzyzonego i mielonego w ostrych kłach życia, wyglądała jak uosobienie grzechu świata przeciwko kobiecie.

Pani Zofia rozpytywała Adama o panią Wawelską, opowiadała o Trebizondowie i niestannie, podczas wypowiedzania zdań najbardziej banalnych, drgała nerwowo. Z warg panny Wandy nie ustępował zły i szydyczny uśmieszek.

Po wypiciu herbaty pani Zofia i jej siostra zabierać się zaczęły do wyjścia.

— Ale zanocujesz u mnie, droga Zosiu? — zapytała panna Bezmiańska.

— Tak, moja droga, i gdzież indziej mogłabym nocować? U Wandy nie mogę, bo ona śpi w pokoju uczennic, a na hotel mię nie stać.

— O, hotele bardzo są w Warszawie drogie, ogromnie drogie... — mówiła, kiwając ku Wawelskiemu głową na znak pożegnania. — A wracajże niedługo, bo ja czekać nie mogę; zasypiam w mgnieniu oka i choćbyś całą noc stuknęła, nie obudzę się.

Dotknęła policzka panny Wandy bokiem dolnej wargi, kiwnęła jeszcze kilka razy głową, zatrzasnęła za wychodzącymi drzwiami i zostawiła ich w zupełnej ciemności. Adam sprowadził damy z krętych schodów, podtrzymując je rękoma w taki sposób, jakby się specjalnie niepokoił o los ich turniur i spódnic.

Te forsowne rękoczyny odżywiły bynajmniej nie platoniczne jego nadzieje, stłumione dopiero co przez sens kazania starej dziewicy. Gdy przechodzili około latarni ulicznych i twarz pani Świerkowskiej wynurzała się na chwilę z ciemności, przypominał mu się zbłąkany wśród liści promień księżyca i jego odbicie w zamglonych bielmem uniesienia oczach, tulących się do niego. Ocknął się w nim nałóg władania panią Zofią...

— Wanda pisała do mnie przed kilkoma dniami, iż widuje pana często, nawet bardzo często — rzekła z trudnością, po długim milczeniu, piękna mężatka. — Słyszałam, że z pana bałamut: chciałam zobaczyć, czy jej pan nie bałamuci, i przyjechałam...

Wawelski nie myślał w tej chwili o pannie Wandzie, toteż odrzekł wymijająco:

— Ja jestem bałamutem? Któż mię tak oczernił? Czyż jest, o Boże, człowiek stalszy nade mnie w uczuciach?

— A któż jest, o Boże, przedmiotem tych uczuć? — spytała panna Wanda...

— Ta, którą kocham nade wszystko, ta jedna i jedyna „do końca świata i po końcu świata”...

— Bagatela... A czy jest już przynajmniej pańską narzeczoną? Wolnoż wiedzieć?

— Nie można; zresztą ja sam nie wiem. Wszystko od niej zależy.

— Kocha pana ta despotka?

— Któż zbadal serce kobiety? Dość czyjeś ploteczki, aby zgasić uczucia i pogrzyźć nas w rozpacz...

— Jakież z pana polityk, cha, cha! Powodzenia w tej miłości! Powrotu spłoszonych uczuć kapryśnej istoty!

Postawiła kołnierz futrzanego kubraczka i wysunawszy się o dwa kroki naprzód, szła w milczeniu, prowadząc Adama i siostrę na ulicę Miodową. Mieszkała w domu rodziców dwu dziewczątek, z którymi w charakterze guwernantki przyjechała ze wsi na początku września, Zatrzymawszy się przed bramą dużej kamienicy, zwróciła się szybko i rzekła:

— Do widzenia, Zosiu. Kiedyż znowu zawitasz do Warszawy? Mam nadzieję, że wkrótce, zwłaszcza teraz, gdy zachodzi potrzeba strzeżenia mnie.

Pani Świerkowską nie odpowiedziała nic; ujęła siostrę pod ramię i wprowadziła w bramę. Tam szeptała jej coś długo do ucha. W ukośnym promieniu latami rysowała się przed oczyma Wawelskiego jej piękna, obciążona bujnymi włosami głowa i usta, zbliżone do samego ucha jej siostry — te same cudne usta i te same włosy...

Nareszcie wyszła. Podał jej rękę i szeptał z czułością:

— Nareszcie jesteśmy sami, nareszcie, po tylu dniach i nocach...

— Ja mam do pana wielką prośbę... Niech się pan nie gniewa na mnie, że pytam wprost: czy ma pan zamiar ożenić się z Wandą?

— Co za przypuszczenie? Panna Wanda jest... bez kwestii... Ja kochałem, kocham i kochać będę tylko ciebie, bezcenny skarbie!..

— A więc nie ma pan zamiaru... No, tak, tak właśnie myślałam. Niech jej pan nie bałamuci, błagam pana na wszystko, co jest świętego; to jest młoda dziewczyna, a pan... postępuje dosyć bezwzględnie. Przecież pan to rozumie!...

— Ależ dobrze! Nie dybię wcale na cnotę panny Wandy. Spotykałem się z nią jak z dobrą znajomą, rozmawiałem nieraz wesoło i na tym koniec. Że coś tam do pani pisała... nie moja wina...

— Tak, tak. Teraz pożegnam pana. Kuzynka moja jest bardzo złośliwą, choć najlepszą pod słońcem osobą; kto wie, czy jej nie strzeli do głowy pomysł śledzenia mnie, podpatrywania z jakiego ukrycia, czy wracam sama.

— Czyż doprawdy pani powróci tam natychmiast? Taką to moja nagroda za tęsknotę?

— Ach, panie, panie!... Któż tak mówi?

— Pobawiła się pani mną, a teraz, znudzony się, odrzucasz jak niemodną rękawiczkę... Co ja teraz pocznę?

W tym okrzyku było tyle rozpacz, że pani Zofia zachwiała się w swych postanowieniach. Znowu poczuła na swej duszy cienkie nici, jakimi oplątał ją ten młodzieniec, nici mocne jak kajdany, które chciała potargać w udręczeniu serca, spalonego żądzą i nieszczęściem. Znowu głowę jej owionął zapal, rozpędził myśli logiczne i zdławił wolę.

— Chcę tylko przekonać się, czy jestem jeszcze kochany; oto wszystko. Czy w tym grzech być może?

— Dobranoc... Muszę iść; Anielka czeka...

— Zmiłuj się nade mną!

— Czego pan chce?

Adam wyjawiał, czego chce. Pani Zofia pamiętała, że ma podarte i zabłocone trzewiki, połataną bieliznę. Te względy wpłynęły na jej opór. Zaczęła oddalać się szybko, schodząc na ulicę Oboźną.

Poszedł za nią i znowu nalegał.

— Niech pan przyjdzie jutro rano o ósmej do Anieli... Jutro rano, mój panie, jutro rano...

Przyśpieszyła kroku i znikła w ciemności na zakręcie ulicy. Adam pomedytował, przeszedł się tam i na powrót po ulicy i poszedł jak niepyszny do domu.

Nazajutrz wyszedł na miasto o godzinie siódmej, zamówił sobie numer w jednym z tańszych hoteli i punkt o ósmej stanął przed drzwiami mieszkania panny Bezmiańskiej. Zastukał z bijącym sercem. Po upływie pewnego czasu klucz zgrzytnął w zamku, drzwi

się uchyliły i wysunął się przez szparę palec, którym dnia poprzedniego stara panna biła tak zapalczywie po stole.

— Czy jest pani Świerkowska? — zapytał Adam, kłaniając się uprzejmie klamce i fi-lunkom drzwi.

Palec skurczył się, zagiął się na drugi, tworząc tak zwaną *figę*.

— Niestety, nie ma! — zatrzeszczała panna Aniela — pojechała do domu, do Trebi-zondowa, do domowego ogniska, do stęsknionego małżonka i ukochanego dziecięcia... Och....

Figa cofnęła się i znowu zgrzytnął klucz w zamku. Adam nie uwierzył starej skorupie. Rozmyślając, jakim sposobem wywabić ukochaną, oparł się o poręcz schodów i czekał dosyć długo. Naraz drzwi się z trzaskiem otwarły i stanęła w nich panna Aniela, wypro-stowana jak żołnierz prezentujący broń.

— Dżentelmen podsłuchujący pode drzwiami i zagląający przez dziurkę od klucza... paradne! Wyjechała, wyjechała, wyjechała! Wraz ze swymi cudnymi oczyma i dziurawymi pończochami. Nie ma jej tutaj. Proszę wejść!

Zanim zdążył słowo wymówić, ujęła go pod ramię i wprowadziła do pokoju. Tam przesunęła z hałasem wszystkie stołki, szklanki, sprzęty, roztwarła drzwi od szafy i drzwicz-ki od pieca, pokazując mu na oko, że pokój jest pusty.

Adama zdjęła jakaś dziwna niespokojność. Kłaniając się od niechcienia chichoczącej pannie, wyszedł z jej mieszkania, zbiegł ze schodów i ruszył w kierunku mostu na Pra-gę. Jak na złość nie spotkał nigdzie dorożki. W pobliżu mostu toczył się melancholijnie tramwaj. Adam wskoczył na jego platformę, ale zanim konduktor wpatrujący się tęskny-mi oczyma w szarą smugę Wisły zwrócił na niego uwagę — wybiegł i poskoczył cwałem na chodnik mostu, potrącając przechodniów. To jedno wiedział, że musi widzieć panią Świerkowską, musi ją mieć w rękę za jaką bądź cenę, choćby za cenę życia.

Dokoła niego dudniło, wrzało i gotowało się jakieś szalone życie. Z przeraźliwym loskotem wlokły się ogromne wozy frachtowe, ciągnięte przez chude, robiące bokami, spienione konie; szli wywijając batami, klnąc, wrzeszcząc wniebogłosy woźnice, zbryzgani błotem aż do kołnierzków podkasanych siermiąg. Snuł się, biegł, pędził dokądś obdarty, skulony od zimna lud roboczy — z takim gwałtem, jakby podeszwy jego parzył ogień. Chlupały dokoła słupów mostu szare fale rzeki, kołysząc na swych grzbietach tafle kry zmiażdżonej. Wszystkie przedmioty i zjawiska, jak fantastyczne chimery, migwały w oczach, huczały w uszach Adama i wydawały mu się dalszym ciągiem chichotu panny Anieli.

Minął wreszcie siwe od oszczędziny kraty mostu, rzucił się w boczną uliczkę i pocwa-łował jak obłąkany. Z zeschniętym językiem, upadając na siłach, dowlókl się wreszcie do dworca. Sale były puste. Flegmatyczny portier porzucił zamiar zamykania drzwi i z kwa-śnym uśmiechem usunął się na bok, ujrawszy nadzwyczajne ruchy Adama. Właśnie rozległ się drugi dzwonek.

Ze sprężystością wyćwiczonego gimnastyka wdzierał się zrozpaczony młodzieniec na schodki wagonów, roztwierał zatrzaśnięte drzwi i torował sobie drogę przebiegając wago-ny. W jednym z przedziałów klasy trzeciej, w tłumie biedoty oczekującej ze skupieniem ducha chwili, kiedy wreszcie *ruszy*, siedziała na brzeżku pani Zofia.

— Niech pani wysiądzie, zaraz, o, teraz... Niech pani wysiada!... — błagał jednym tchem.

— Nie wysiądę za nic.

— Stanowczo?

— Tak, stanowczo.

— Dlaczego?

— Nie wysiądę.

— A jeżeli ja panią zmuszę?

Spojrzała pytająco i instynktownie chwyciła ręką za brzeg ławki.

— Jeżeli nie wysiądziesz, to ja cię nauczę, ja ci pokażę! Opowiem Wandzie wszystko, od początku do końca, pokażę jej twoje listy...

— Uprzedziłam pana w tym. Właśnie wczoraj opowiedziałam jej wszystko, od po-czątku do końca. Wiem teraz, co pan za jeden... Ach, Boże!...

— Radzę pani wysiąść, nie doprowadzać mię do ostateczności! We mnie, jak w Hamlecie, jest coś niebezpiecznego...

— Już się panu nie uda zwieść mię drugi raz tymi niezrozumiałymi wyrazami. W panu jest rzeczywiście coś niebezpiecznego, ale prędzej coś z Żyda niż z jakiegoś tam Hamleta!...

Uderzył trzeci dzwonek. Serce Wawelskiego ścisnęło się najsroźszym jaki być może bólem. Wyszedł z wagonu, nie oglądając się poza siebie, z obwisłymi bezwładnie rękami; minął dworzec i brnął po błocie. Na skrawku ulicy przystanął i przyglądał się pociągowi mknącemu wśród mgły szarej.

— „Prędzej coś z Żyda niż z jakiegoś tam Hamleta” — mówił do siebie. — Przewidywałem, że tak będzie; tak być musiało, tak bywa zawsze, skoro ktoś perły świniom rzuca. Pojechała sobie teraz do męża... I nie ma na to rady!

Pobiegł środkiem jakiejś nie znanej mu ulicy obok parkanów i lichych domków przedmieścia, wymawiając dobitnie raz za razem hańbiący kobietę wyraz plugawy. Powtarzanie tego słowa sprawiało mu ulgę, było oparciem w rozpacz i jakby środkiem ratunku. Wyszedł nad brzeg łachy wiślanej i powlókł się po jej wybrzeżu. Widok wody, kry, fal przypomniał mu biedną, ostatnią nadzieję, z której promykiem w sercu tak jeszcze niedawno biegł przez most, i poczęła się w nim siepać bezradna męka, poczucie doznanej krzywdy.

Usiadł na stosie cegły przyprószonej śniegiem, objął rękami kolana i bezmyślnie wpatrywał się w wodę. Z miejsca, które zajmował, widać było koryto rzeki z szeroką jej zatoką. Odbite, wytracone z szeregu, zdyszane fale biegły chlaszcząc grzywami piany, aby ułożyć się na chwilę u brzegu, na łasze wylizanego gruboziarnistego piasku. Pośrodku tej ruchomej powierzchni znać było czarną smugę niezgłębionego nurtu. Ten nurt wciągał Wawelskiego z niesłychaną siłą. Nęciło go dziwne gadanie fal, jakieś urwane, żalodne półdźwięki, stłumiona wrzawa niepojętych głosów.

Dźwignął się ze swego siedzenia i zbliżył do brzegu. Stał tam czas pewien, mrugając powiekami — potem zakręcił się na miejscu i poszedł szybko w kierunku mostu.

Niejasny i mglisty zamiar popełnienia samobójstwa — jak mocne wstrząśnienie otrząsnął go i stłumił miotającą się rozpacz. Teraz powstał w nim logicznie określony zamiar i w kierunku tego zamiaru wyładowywało się żrące uczucie. „Trzeba przeciąć ten wrzód — myślał przyspieszając kroku — inaczej zdechnę!”

Za mostem wsiadł do dorożki i kazał się odwieźć do domu. Znalazłszy się w swoim pokoju obejrzał, nabił i oczyścił doskonale sześciostrzzałowy rewolwer dużego kalibru i umieścił go za dywanem u wezglowia łóżka. Następnie ułożył według dat wszystkie listy pani Zofii, od pierwszego do ostatniego, związał je w paczkę, obmotał niebieską wstążeczką, zapakował starannie w piękne pudełko i zaszył w płótno. Na wierzchu tego pakunku wypisał kaligraficznie adres: „Wielmożny Pan Wiktor Jaksa-Świerkowski, obywatel — w Trebizondowie”. Posyłkę tę odniósł sam i oddał na pocztę. Załatwiwszy to wszystko, powrócił do domu i rzucił się na łóżko.

— Ach, jakże to długo trzeba czekać. Gdybyż to już dziś... Czas, najstraszliwszy wróg... — mówił do siebie.

Umysł jego był w tej chwili niesłychanie wyostrozony; pamięć z oślepiającą wyrazistością przedstawiała mu dom Świerkowskich, każdy sprzęt tego pokoju, gdzie przebywał z nimi najczęściej; podniecona wyobraźnia wystawiała cały obraz; był raczej tam niż u siebie w Warszawie. Oto pan Jaksa-Świerkowski chodzi po pokoju, głęboko rozmyślając, kto i co mu może przysłać, co oznacza otrzymana awizacja pocztowa, którą już poświadczył, podpisał i odesłał na pocztę. Naraz wchodzi Żydziak roznoszący listy; kłania się nisko wielmożnemu panu i ze śmiechem uprzejmym wręcza mały, skromnych rozmiarów, niewinny pakiecik. Świerkowski z namaszczaniem rozcina szwy, wydobywa pudełko i dziwi się, otwiera je i dziwi się, czyta list pierwszy i dziwi się... Cha, cha! Co za małpi wyraz twarzy, jak szeroko roztwarta gęba, jakie zgłupiałe oczy, co za mina!

A potem... co to, co to? Wlecz kogoś za włosy, kopie obcasami, pluje w czyjeś precudne oczy, bije zwiniętym kulakiem w twarz, w zęby — wpada w okrutną zapamiętałość, trzęsie w rękach tę ładną kobietkę, drze na niej suknię i za każdym uderzeniem, za każdym policzkiem, za każdym charknięciem w twarz nazywa tym samym imieniem, tą samą nazwą... Cha, cha! Należy jej się! Bij ją, jeszcze bij, wysilaj całą swoją chamską, bydłęcą

brutalność! Bij z całej mocy! Niech nie waży się nikogo znieważać, niech nie zdradza! Bij tę kochankę Żyda! „Więcej Żyda niż jakiegoś tam Hamleta...” A dalej, co dalej?... Wyrzuca ją za drzwi, trątuje leżącą nogami, odciąga ją precz od swego domu na środek podwórza i zamyka drzwi z trzaskiem.

Ona dźwiga się z ziemi, obciera rękawami krew ciekącą z nosa i wlecze się do drzwi. Stuka w nie i mówi cicho, gardłowym głosem, jaki sama zaledwie słyszy: — Oddaj mi dziecko; pójdę sobie!... Oddaj, oddaj...

Ale te drzwi na zawsze są zamknięte. Zimno jej. Cudne ciało widać przez dziury podartych sukien. Zimno jej strasznie. Idzie po oślizgłej grudzie precz z tego domu, zhańbionego przez nią; mija podwórze i wydostaje się na bagnistą drogę.

Suche konary topoli tak głucho jęczą, snują się płateczki śniegu, zapada zmierzch fioletowy.

„Dokądże idziesz, piękna istoto? Jaki cel widzą w przestrzeni twe oczy, podbite nieco, ale wiecznie piękne, podobne z barwy do sopli lodu? Do kogo idziesz? Azali do Żydzia, aby mu u nóg leżeć, być jego sługą, pomywaczką, czym każe?...” Tą pustą drogą wlecze się jakiś człowiek, nie znany Adasiowi z nazwiska — pewno mieszczanin, witający zawsze panią Świerkowską uchyleniem czapki. Spotyka ją i nie wierzy oczom — uśmiecha się i żegna po kryjomu krzyżem świętym. Ona spostrzega go, pali się wstydem, strasliwym wstydem; ucieka od niego, dobiega do pnia i chowa się tam jak wariatka — przytula się do obmarzłej kory, lgnie do niej ustami. Drży, boi się, dygoce, słysząc chlapanie błota pod stopami przekupnia... Prosi się duszy swojej, aby z niej wyszła — jak mówią poeci. Cha, cha!

W ciągu siedmiu miesięcy Wawelski oczekiwał na pana Wiktora, sądząc, że ten zażąda od niego satysfakcji honorowej. Miał zawsze przy sobie rewolwer, aby odeprzeć brutalny, jak przypuszczał, napad szlachcica. Ta wieczna myśl o czymś wiszącym nad nim zatruwała mu każdą chwilę życia. Odgłos dzwonka, szybkie kroki na schodach, przyciszona rozmowa w przedpokoju, każdy szelest podejrzany — przejmowały go dreszczem, szczególnie później, po upływie kilku miesięcy, kiedy cała ta przygoda miłosna usunęła się w jego pamięci na plan daleki.

Nadeszły ostateczne egzamina, porzucanie ławy uniwersyteckiej; otwarło się szerokie, czynne życie. Pani Wawelska szeptała już niejednokrotnie do ucha jednemu o urodzie, a właściwie o posagu pewnej dziewicy ze sfery burżuazyjnej i ziarna tej propagandy nie padały na opokę. Sam Adaś doszedł już do pewnika filozoficznego, że „życie nie jest romans” i że należy się na gwałt żenić bogato. A tymczasem widmo tłustego szlachcica nie opuszczało go, mąciło każdą jego myśl wesołą, paraliżowało każdy zamiar i pomysł. Postanowił tedy raz to skończyć, odnaleźć Świerkowskiego w jego własnym gnieździe, nasunąć mu się na oczy.

Na początku lipca wyjechał z matką na letnie mieszkanie. Gdy pociąg wtaczał się powoli na zwrotnice trebizondowskie, młodzieńcowi było trochę, szczerze mówiąc, niedobrze. Wyćwiczył się wprawdzie przez ten czas w sztuce robienia rapirem — ale jakież to cięcie odbić zdoła zamach ramienia Świerkowskiego. Kolos ten pewno nie umie bić się na pałasze, ale może przez zemstę płatnąć w ciemię... i idź potem do Pana Boga na skargę.

Pani Wawelska wysiadłszy z wagonu udała się wprost do Odrobinki. Adam został na dworcu i jedwabnymi kroczkami wszedł do sali.

Ten sam kelner, z tym samym głupkowskim uśmiechem, obsługiwał kilku trebizondowiaków, ciągnących z godnością i powagą skromne piwko „słomkowe”. Był tu geometra, pan profesor, chorowity doktor i kilku innych. Wszyscy poznali zesłorocznego towarzysza i rzucili się ku niemu z wielką serdecznością. Należało stuknąć się z nimi szklanką porteru. Nim wypito pierwsze szklanki, Adam cisnął między tych jegomościów pytanie podobne dla niego do wybuchowego ładunku, który za chwilę wyrwie go w powietrze:

— A cóż to ja nie dostrzegam między szanownymi panami obywatela dobrodzieja, kochanego pana Wiktora?

Wszyscy zaczęli kiwać głowami z politowaniem.

— Nic pan nie wiesz? Tak-że pan gadaj! — zawołał geometra. — Ani dymu, ani popiołu ze Świerkowskiego. Dzierżawę trzyma o dziewiętnaście mil stąd. Pięćset mórg! Po dwa ruble z morgi... Taki frant z tego chłopca! Grunt swój rozkolonizował „gulonom” jakoś w lutym czy w marcu, spłacił pilniejsze długi i mając w kieszeni około ośmiuset rubli puszcza się panu na dzierżawę. Mówię do niego: — Wiesz pan co? Źle pan, zdaje mi się, robisz; folwark podły, wiem przecież doskonale, byłem tam nie wiem ile razy: wielki, w piachach, budynków żadnych, jednego kołka w płocie; na polach psi rumianek stokrotne daje plony... Jakże pan sobie dasz radę? — Wiesz pan co? — on powiada — i tak, i tak mię diabli wezmą. Tęgo Trebizondowa mam już po dziury w nosie... Chciałem — powiada — jednego Żydzia naciągnąć, interes był kapitalny na oko, tymczasem ten właśnie Żydzia tak mię ubrał, że teraz już... *aus!* Co dzierżawa, to dzierżawa. Może da Pan Bóg, że się wyrobię. — Mówię do niego: — Wiesz pan co? szczęście Boże, ale...

— I wyjechał? — spytał Adam z jakimś nerwowym zachłyśnięciem.

— Ba, jeszcze w marcu.

— Z żoną?

— A ma się rozumieć. Cóż by on bez niej znaczył na świecie? Ta kobieta za dziesięć parobków mu obstoi.

— Coś tam między nimi było — wtrącił doktor Daktylberg z zadowoleniem, że może nareszcie przyjąć do słowa — coś nawet *de grubis*. Miała wyjeżdżać do matki, chorowała...

— Żadnej matki nie ma! Co doktor pleciesz! Do siostry! — przerwano mu.

— No, to do siostry! Dopiero erudycja! Służąca Świerkowskich paplała po mieście najdziwniejsze historie...

— Kłamstwo! — huknął geometra. — Nic nie było, żadnych historii; przecież wiem doskonale... Poszło z pewnością o to, że Świerkowski pił tej zimy nad wszelkie spodziewanie: na stacji kieliszka wódki nie można było dostać; dzień w dzień go stąd do domu saniami odwożono.

— Zadziwiająca rzecz — uśmiechnął się Wawelski. — Ale koniec końców zgoda nastąpiła?

— A naturalnie. Ta kobieta go od pijaństwa powstrzymała; zapracowuje się na niego; żyły, panie dziejski, da ze siebie dla niego wypruć... Przecież wiem doskonale...

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/zeromski-oko-za-oko>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Żeromski, Opowiadania, utwory powieściowe, wyd. Czytelnik, Warszawa 1957.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł.

Publikację wsparli i wsparły: barmar, Robert Celuch, Marcin Woźniak, Radosław, ad maiorem Żeromski gloriam, anonim, bzz.

Okladka na podstawie: Nana B Agyei@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-1048-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.